

# Królowa nocy

Anna Kłodzińska



calibre 0.9.27

## *KRÓLOWA NOCY*

### ROZDZIAŁ I

Derbach wracał pociągiem. Nie dostał już miejsca w samolocie i jego samopoczucie było nietęgie. Miał przed sobą kilkadziesiąt godzin jazdy, co nie należało do przyjemności i czego nie znosił.

W dość częstych podróżach posługiwał się wyłącznie samolotami, w wyjątkowych przypadkach własnym autem, nigdy koleją - teraz jednak nie miał wyjścia.

Leżąc na dolnym pośłaniu sypialnego wagonu pierwszej klasy z irytacją przysłuchiwał się pochrapywaniu sąsiada z góry. Potem zaczął drzemać, w półśnie zdawało mu się, że jest jeszcze z

Wandą i Kryśkiem w Złotych Piaskach. Mieli na te trzy wspólne dni pokój w hotelu „Diana”, przeznaczony w zasadzie dla Szwedów czy Holendrów, ale ktoś tam z ich wycieczki nie przyjechał i uprzejmi Bułgarzy zgodzili się na polski dodatek.

Ostatniego dnia Derbach przeniósł żonę i synka do zamówionej uprzednio kwatery prywatnej; była tańsza i nawet przyjemniejsza.

Na dłuższy pobyt „Diana” okazała się hałaśliwa, zwłaszcza ze względu na bliskie sąsiedztwo Diabelskiego Młyna, czy jak tam ten lokal się nazywał.

Teraz więc zaczęło mu się zdawać, że jest jeszcze w hotelu, że jedzą śniadanie w barze obok hallu, Wanda coś mu wyjaśnia, przedkłada, mrużąc swoje ładne, trochę krótkowzroczne oczy, a

on w żaden sposób nie może zrozumieć, o co jej chodzi. Ocknął się, kiedy do drzwi zastukali rumuńscy celnicy, a później już nie mógł zasnąć i podróż dłużyła się nieznośnie.

W Warszawie wpadł od razu w wir zajęć fabrycznych. Obaj dyrektorzy - naczelny i techniczny - byli na urlopie, więc cała robota i odpowiedzialność zwały się na tego trzeciego, administracyjno-handlowego, zwanego przez personel w skrócie DA, a przez spoufaloną sekretarkę: Kaziu.

Pierwszy tydzień po powrocie z Bułgarii upłynął mu na pracy i nie było czasu na rozrywkę. Późnym wieczorem miał jeszcze tylko ochotę na kąpiel, filiżankę herbaty i czym prędzej gnał do łóżka, zasypiając kamiennym snem utrudzonego człowieka. Po tygodniu wrócił główny inżynier i natłok zajęć rozluźnił się trochę. Minister ich resortu i większość bardzo licznych wiceministrów bawiła jeszcze na urlopiach, mało kto urządzał narady, można więc było odetchnąć i znowu zauważać świat dookoła.

W sobotnie popołudnie Derbach, zniecierpliwiony jedzeniem tego, co sam sobie w domu pitrasił, postanowił wreszcie zjeść po ludzku i wybrał się do baru „Europejskiej”. Wiedział, że spotka tam paru znajomych, bar był w stolicy punktem zbornym smakoszy, łakomczuchów, znawców dobrej kuchni, rzadki tego rodzaju przybytek pośród jałowej warszawskiej gastronomii. Przy stolikach nie było miejsca, usadowił się więc na wysokim stołku barowym, przejrzał z satysfakcją menu. Wybrał jajko molet, barszcz z pasztecikiem, zamyślił się nad pieczystym,

zdecydował na kaczkę, choć przeczuwał, że nie będzie z niej  
pożytku. Potem dopiero rozejrzał się po sąsiadach. Obok niego  
łysy pan w skupionym milczeniu zajadał pieczarki w kokilce i nie  
raczył nawet rzucić okiem na przybysza. Ale Derbach, odkąd  
minęła mu pięćdziesiątka, doceniał to delectowanie się  
potrawami.

Spojrzał w lewo. Pierwszy stółek nie był zajęty, na następnym  
siedziała dziewczyna z rozrzuconymi swobodnie włosami. Piła  
kawę na przemian z sokiem z czarnej porzeczki. Patrzyła przed  
siebie, zamyślona, nieobecna, jakby daleka od tego, co się dokoła  
niej dzieje. Miała ładne włosy, regularny profil, matową, opaloną  
cerę, a na sobie kolorową bluzę, nałożoną na czarne, jedwabne  
spodnie, na nogach modne w tym roku japonki.

„Ładna babka” - pomyślał i zajął się barszczem. Zaspokoiwszy pierwszy głód dostrzegł, że wyciągnęła z paczki papierosa i szuka zapalek, więc uprzejmie podsunął jej zapalniczkę. Odwróciła ku niemu głowę, oczy miała podłużne, umiejętnie zrobione, koloru ciemnego piwa. Uśmiechnęła się, wtedy wydała mu się śliczna.

- Thanks - powiedziała cicho.

„Anielka. Albo Amerykanka. Pewnie mieszka w „Europejskim, nudzi się sama. Ciekawe...” Odezwał się:

- English? Potrząsnęła głową.

- Jestem Polką. Ale mieszkam stale w Anglii. Z rodzicami.

- Jak na Polkę urodzoną i mieszkającą za granicą mówi pani świetnie po polsku.

- Tak. Rodzice o to dbają.

- Pierwszy raz jest pani w kraju?

- Drugi. Przedtem byłam z matką, teraz przyjechałam sama.

- Nie nudzi się pani? Uśmiechnęła się.

- Sometimes - szepnęła z zażenowaniem. - Nie znam tu nikogo.

Właściwie znam, ale oni wyjechali na urlop.

- Kiedy pani była poprzednim razem?

- Sześć lat temu. Warszawa bardzo się zmieniła. Rozbudowała.

- Chętnie ją pani pokażę - zaofiarował się.

Kaczka miała mnóstwo gości i przestała go interesować. Zamówił kawę, zaproponował:

- Może zjemy tort hiszpański? Chciałbym panią czymś

poczęstować, tak pani samotnie pije tę kawę...

Zgodziła się, kelnerka przyniosła dwa ogromne torty. W trakcie rozmowy przyglądał się dziewczynie ukradkiem. Podobała mu się.

Była nie tylko ładna, ale atrakcyjna, może zresztą pociągał go nimb zagranicy, może fakt, że oboje byli akurat sami. Rzeczowo pomyślał, że ma do dyspozycji całe mieszkanie.

Wanda miała wrócić dopiero za dwa tygodnie. Tak, ale przecież nie ma do czynienia ze zwykłą cizią, która przy-

leci raz-dwa, za kolację i parę koniaków. Taka laleczka wymaga dłuższego obtańcowywania, a na to brak czasu. Może więc po

prostu obwieźć ją po mieście, potańczyć gdzieś trochę,

poflirtować i tyle. Z taką warto pokazać się w lokalu.

- Mieszka pani w tym hotelu? - spytał, kiedy zjadła ostatni kęs tortu.

- Tak. Niedługo już wyjeżdżam. Z powrotem, do Anglii.

- Kiedy?

- Za dwa... nie, za trzy dni.

Miał przed barem swego fiata z Żerania, wóz był prawie nowy i prezentował się ładnie. zaproponował dziewczynie przejażdżkę

po mieście, przed wyjściem z lokalu zręcznie wtrącił swoje

nazwisko i funkcję: dyrektor administracyj-no-handlowy w

fabryce. Jakiej - dla cudzoziemki nie miało to znaczenia, a

stanowisko liczyło się, ustawiało go na dobrym szczeblu

hierarchii.

- Ja się nazywam Liz Wight. Właściwie Elisabeth, ale w skrócie Liz.

- Śliczne imię - zaopiniował, skręcając w Krakowskie. Patrzyła na niego z uśmiechem, więc ujął jej rękę i ucałował nad przegubem.

Gdzieś po godzinie powiedziała, patrząc na zegarek:

- Proszę mnie odwieźć do hotelu. Nie mogę się spóźnić.

Umówiłam się z dalekimi krewnymi mojej matki. Oni w nocy jadą na urlop i mają dla mnie tylko ten wieczór. Ale... - urwała, przyglądając mu się jakby z wahaniem. Więc podjął ochoczo:

- Ale jutro będzie już pani sama. Może się spotkamy? Jest niedziela, mam cały dzień do dyspozycji.

- Weil. To jest, dobrze. Niech pan podjedzie przed hotel, powiedzmy, o dziesiątej rano.

Nazajutrz, rozemocjonowany zapowiadającą się przygodą, wstał wcześnie, aby uporządkować mieszkanie. Nie wymagało zresztą

wiele trudu, opłacał sprzątaczkę, która przychodziła co drugi dzień i robiła co trzeba, a także co nie trzeba, na co patrzył przez palce.

Ostatecznie niech sobie kobieta skubnie więcej szynki, wiedział, że ma męża pijaka i z derbachowskiej spiżarni dokarmia czeredę dzieciaków.

Wyskoczył po kwiaty, ale zapomniał, że niedziela i nie znalazł ulicznych handlerek, a kwaciarnia była daleko. Trudno, obejdzie się bez kwiatów. W domu miał zapas alkoholu, w tym dwie butelki na lepsze okazje, francuski koniak i oryginalna whisky

„White Horse”. W lodówce zapobiegliwa gosposia umieściła polędwicę, były sardynki, masło, postanowił później, gdzieś po drodze - jak wszystko ułoży się po myśli - kupić coś słodkiego.

Pamiętał, z jakim apetytem spałaszowała w barze tort.

W łazience wisiał jedwabny szlafrok Wandy, biały, długi do ziemi.

Ujął go w ręce, wciągnął znajomy zapach wody „L'aimant” i zadumał się. Miał wyrzuty sumienia. Już teraz, a co będzie potem?

- Po czym? - mruknął do siebie. Wzruszył ramionami. Przecież randka może się wcale nie udać, to nie dziewczyna z ulicy, lecz elegancka, przyzwoita cudzoziemka, która po prostu w jego towarzystwie zwiedziła miasto, zabawiła się trochę i...

- Trele-morele! - westchnął. Dobrze wiedział, do czego chce doprowadzić, ale już był za bardzo zaangażowany, by się cofnąć.

Ostatecznie, myślał potem wsiadając do samochodu, wielu na moim miejscu zrobiłoby to samo. To nie żadna zdrada, przekonywał sam siebie, to zwykła letnia przygoda. Wanda nie ma z tą sprawą nic wspólnego, za dzień czy dwa dziewczyna odjedzie i nigdy jej nie zobaczę, zapomnę po tygodniu.

Jadąc przez Krakowskie, miał już z dziesięć argumentów na obronę swojej niewinności, robił zresztą rzeczywiście to, co tak wielu by czyniło i wmawiało sobie, będąc na jego miejscu.

Tak czy owak, rozumował, zatrzymując się przed hotelem, cofnąć się po prostu nie wypada, obiecał, że przyjedzie, ona z pewnością czeka. Byłby wstyd, gdyby na próżno.



Liz istotnie czekała w sandwich-barze, dostrzegła go, kiedy

wszedł do hallu i wesoło pomachała ręką. Rozpro-

mienił się na jej widok. W białych spodniach i błękitnej bluzeczce bez rękawów wyglądała prześlicznie.

Pojechali za miasto, odwiedzili Zalew Zegrzyński, kąpali się, jedli obiad w coraz większej ze sobą komitywie. Derbach czuł, że ta

smukła, opalona dziewczyna o długich nogach zaczyna wzbudzać

w nim niepokój i silne pożądanie. Teraz nie myślał już o Wandzie,

nie miał żadnych obiekcji małżeńskich, widział tylko koło siebie

delikatny profil Liz i czarne, bardzo długie rzęsy, czuł zapach

jakichś subtelnych perfum i prowadził wóz nie bardzo przytomnie,

aż musiała mu zwrócić uwagę, że chyba błędzą, bo po raz drugi

jadą tą samą drogą.

Ocknął się, skupił nad kierownicą, dodał gazu. Po dwudziestu

minutach znaleźli się przed jego domem. Zahamował, zgasił

motor i spojrzał na nią prosząco.

- Gdzie jesteśmy? - spytała zdziwiona.

- Tu mieszkam.

Uśmiechnęła się, pokazała palcem na okna pierwszego piętra.

- Tam?

- Nie. Na drugim. Chodźmy! - rzucił, sięgając przez jej ramię, aby otworzyć drzwiczki po prawej stronie. Musnął wargami rozsypane

włosy, szczęśliwy i pełen oczekiwania.

Kiedy zagłębiła się w fotel w jego pokoju, wyjął z baru whisky i

koniak, ustawił kieliszki. Ręce mu drżały, rozlał trochę alkoholu

na stół. Po minucie miał ją już w ramionach, nie opierała się,

całowała go z jakimś oddaniem, może uczuciem.

Na rękach przeniósł ją na tapczan, wtedy jednak wysunęła mu się delikatnie z rąk.

- Nie myśl, że ja taka... pierwsza lepsza - powiedziała. - A poza tym zaprosiłeś mnie przecież na kawę. Sam koniak będziemy pili?

Ja bym coś zjadła.

- Przepraszam, kochanie - zreflektował się. - Zaraz zrobię pyszną, mocną kawę!

- Mogę umyć ręce? - spytała, rozglądając się po mieszkaniu.

Pokazał jej łazienkę, przyniósł garść czystych ręczników i mydło

Yardley'a, które chował zawsze na własny użytek, tym razem

jednak chciał być hojny pod każdym względem. Liz znikła w

łazience, a on poszedł do kuchni. Zrobił szybko ładne, małe

kanapki, zaparzył kawę, ustawił filiżanki i talerzyki na tacy.

Kiedy zjawił się z tym wszystkim w pokoju, Liz stała obok

tapczanu, ubrana w biały szlafrok Wandy. Miękki, lśniący jedwab

spływał po smukłej talii dziewczyny, wyglądała jak-prześliczna

rzeźba. Zdziwił się, że nie raziło go, iż wzięła bez pytania szlafrok jego żony, bez żenady pomyślał, że leży na niej o wiele lepiej.

Postawił tacę na stoliku i szepnął, patrząc na Liz:

- Moja ty... Królowo Nocy!

- Ładnie mówisz - uśmiechnęła się. - Beautiful.

Nastawił radio, z głośnika płynęła egzotyczna, podniecająca

melodia, dziewczyna wystukiwała rytm obcasem sandałka. Jedli

kanapki, właściwie jadła tylko ona, Derbach nie mógł nic

przełknąć. Uroda i bliskość pięknej Angielki wytrąciły go z

równowagi.

- Jak mnie nazwałeś? - spytała, unosząc w górę kieliszek z koniakiem.

- Królowa Nocy - odparł, siadając obok niej. - Moja Królowa...

Zbudził się o świcie. Liz spała mocno, wtulona twarzą w poduszkę. Leżał chwilę bez ruchu, aby nie przerwać jej snu, bał się, że zaśnie z powrotem i spóźni się do fabryki. Wstał więc ostrożnie, wyszedł do łazienki, potem przygotował w kuchni śniadanie. Zastanawiał się, jak w delikatny sposób powiedzieć dziewczynie, żeby odeszła do hotelu, bał się gosposi. Musi zdążyć z usunięciem wszystkich śladów randki zanim ktokolwiek tu przyjdzie.

Liz wybawiła go z kłopotu. Zbudziła się sama, z wesołym uśmiechem powitała go w kuchni i zabrała się do śniadania.

- Zaraz muszę iść - powiedziała. - Jutro odlatuję do Anglii, mam jeszcze sporo spraw do załatwienia przed wyjazdem.

- Czy naprawdę nie mogłabyś zostać? - spytał, bojąc się, że wyrazi zgodę, byłby wtedy w kłopotcie.
- Nie. Sorry - ucałowała go w policzek.
- Jak będziesz kiedy w Londynie, odwiedź mnie.
- Nie podałaś mi przecież adresu.

- Rzeczywiście! - roześmiała się. Napisała na kartce londyński

adres, który schował do portfela. Dziwił się, że wczorajsze

oszołomienie urodą dziewczyny jakoś się rozpuściło, tego ranka

już nie wydawała mu się taka śliczna, było w niej coś pospolitego, czego przedtem nie zauważył. Z tym wszystkim rad był, że

odjeżdża.

Odprowadził Liz do taksówki, pożegnał serdecznie. Powiedzieli

sobie, że na pewno jeszcze się kiedyś spotkają. Potem wrócił do

domu, spiesznie uprzątnął brudne naczynia, zasłał tapczan, do

kosza z brudną bielizną wrzucił używane ręczniki.

Kiedy nie znalazł już żadnych śladów nocnej zabawy, wsiadł do

„Fiata” i pojechał do fabryki. „Miła dziewczyna” - myślał o Liz łagodnie, ale bez emocji. Potem o wszystkim zapomniał.

Wanda i Krysiek wrócili opaleni, weseli, choć wymęczeni długą

jazdą. Mały zaraz poszedł spać, a Wanda wraz z gospożą zabrały

się do rozpakowywania walizek i zwyczajnych, domowych

porządków. Derbachowa z przyjemnością krzątała się po

mieszkaniu, lubiła takie powroty z wakacji, kiedy dom - swojski,

ulubiony, dobrze znany - witał ją przyjaznym milczeniem mebli i

ścian.

- Mnóstwo brudów - powiedziała do gosposi, wrzucając do kosza stos dziecięcej bielizny. - Czemu te ręczniki w koszu? Przecież zupełnie czyste? - Uniosła w górę dwa kolorowe frotte.

Gospośia wzruszyła ramionami.

- Widać pan przez pomyłkę. Niech pani da, to przepłuczę, na balkonie raz-dwa wyschną.

Z racji powrotu rodziny Derbach urwał się z fabryki godzinę wcześniej, na uroczysty obiad. Potem było długie opowiadanie o tym, jak to było w Bułgarii, ile Krysiak

przytył, a Wanda schudła, co było z góry zaprogramowane.

Wypytywany, co robił przez ten czas w Warszawie, Derbach nie musiał nawet powściągać języka, aby nie wspomnieć o przygodzie z Królową Nocy, po prostu sama znikła z jego pamięci, jak krótki letni sen. Wprawdzie gdzieś w zakamarkach portfela została kartka z londyńskim adresem, portfel jednak był potężnych rozmiarów i mieścił wiele „śmiecia”, jak to sam nazywał. Rzadko robił w nim porządek.

W kilka dni po powrocie Wandy i syna, wieczór był chmurny i popadywał deszcz, gdy Derbach szedł Marszałkowską. Umówił się ze znajomym na kawę w „Mazowszu”. Z racji niepogody ogródek przed kawiarnią był prawie pusty. Wszedł na parter, stwierdził, że wszystkie stoliki są zajęte i zatrzymał się niezdecydowany. Sala na piętrze była dla niepalących, wiedział, że tam znajomy na pewno nie usiadł. Stał więc z boku, oddał w szatni parasol i czekał. Jak przyjdzie, może zdecydują się na ogródek.

Młody człowiek w rozpiętej wiatrówce, o ciemnych włosach, opadających na ramiona, przystanął tuż za nim, ziejąc mu na kark oddechem przesyconym alkoholem, najpewniej była to mieszanka wódki z piwem. Zanim zdążył się odsunąć, usłyszał wyraźny szept:

- Królowa Nocy pozdrawia...

Żachnął się, odwrócił gwałtownie, ale koło niego było już pusto.

Wybiegł na chodnik, wzburzony i zdumiony, ktoś chwycił go za ramię:

- Kaziu, bój się Boga, co się stało?

To był znajomy, z którym się umówił. Patrzył na Der-bacha przestraszonym wzrokiem. Wicedyrektor ochłonał, pomyślał, że musi wyglądać na pijanego, przygładził włosy i uśmiechnął się z przymusem.

- Jak się masz, Stachu. Nic się nie stało. Po prostu... zdawało mi się, że przeszedłeś obok „Mazowska” i idziesz dalej, do

„Szanghaju”, więc wybiegłem, żeby cię zatrzymać.

- Miałeś takie dziwne oczy - znajomy przyglądał mu się podejrzliwie. Derbach zirytował się.

- Zdawało ci się - mruknął. - Chodźmy zresztą rzeczywiście do „Szanghaju”, tu nie ma miejsca.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok, wstawał, zapalał papierosa, napił się herbaty, próbował czytać.

Wanda spała z Krysiem w drugim pokoju, stąpał cicho, aby ich nie zbudzić, nie byłby w stanie teraz z nią rozmawiać.

„Kim był ten chłopak?” - myślał, rzuciwszy się z powrotem na tapczan. Może jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności? Może to nie odnosi się do niego? Próbował przypomnieć sobie, czy stało tam wówczas więcej osób, zdawało mu się, że nie. Ale może ten, do którego chłopak się odezwał, wybiegł wraz z nim. No bo skądże by wiedział o Liz? A przede wszystkim, skąd chłopak znałby to określenie, którym Derbach kilkakrotnie pamiętnej nocy obdarzył uroczą cudzoziemkę? Nie, niemożliwe.

Na drugi dzień, zaraz po pracy, podjechał pod hotel „Europejski”, zaparkował wóz i wszedł do recepcji. Tonem uprzejmym, lecz

pewnym siebie, rzekł do urzędującego tam pracownika:

- Proszę pana, trzy tygodnie temu mieszkała u was pewna

Angielka, pani Elizabeth Wight z Londynu. Chciałbym...

- Chwileczkę - przerwał urzędnik - zaraz sprawdzę. Może pan przeliteruje nazwisko, żeby nie było pomyłki.

- Wight, Wu-i-ge-ha-te. Elizabeth.

Czekał z bijącym sercem, chociaż twarz miał spokojną; musiał to



wyjaśnić jak najprędzej.

- Owszem, zgadza się - powiedział kierownik. - Ale ta pani już dawno wyjechała.

- Wiem. Przed wyjazdem prosiła mnie jednak, abym przesłał jej... hm, album o Warszawie. A ja, niestety, zgubiłem adres. Wiem tylko, że było to w dzielnicy Kensington.

- I to się zgadza, ale, proszę pana, ja nie jestem upoważniony do podawania bliższego adresu. Nie wiem przecież, czy ta pani rzeczywiście sobie tego życzy.

- W takim razie - Derbach uśmiechnął się - spróbuję jakoś odnaleźć adres przez wspólnych znajomych. Dziękuję panu, do widzenia.

Wyszedł z hotelu, nie wiedząc - cieszyć się, czy martwić.

Otrzymał potwierdzenie, że Liz mieszkała w hotelu, że była cudzoziemką, że wyjechała. To była pozytywna strona informacji.

Sądził bowiem podczas nieprzespanej nocy, że został w jakiś sposób wyprowadzony w pole i rzekoma Liz nie jest wcale

Angielką, lecz zwykłą dziewczyną z warszawskiego półświatka.

Tak, ale w takim razie, co znaczyły słowa chłopaka, że Królowa

Nocy go pozdrawia?

Długo się męczył, wreszcie doszedł do wniosku, że odnosiło się to jednak do kogoś innego.

- Pan Antkowiak przy aparacie - powiedziała sekretarka. - Czy mam połączyć?

- Jaki Antkowiak? - Derbach szybko przerzucił w pamięci listę znajomych nazwisk, zaczynających się na A. - Skąd?

- Z ministerstwa.

Westchnął. Namnożyło się tych ważniaków, że trudno ich zliczyć.

A wszyscy prosto do dyrektora, jakby nie było naczelnika wydziału.

- Niech pani łączy - mruknął. - Proszę, Derbach... Słuchał przez chwilę zdziwiony, potem zirytowany.

Wreszcie udało mu się wtrącić:

- Ale kim pan jest właściwie? I o co chodzi?... W sprawie prywatnej? Nie mam czasu na... To niech pan idzie do kadr... Pan

jest inżynierem?... No, dobrze, proszę przyjść za dwie godziny.

Kilka minut po czternastej sekretarka wetknęła rudą fryzurę w drzwi dyrektorskiego gabinetu i oznajmiła poufałym szeptem, że „ten Antkowiak” czeka.

- Niech czeka - warknął Derbach i zaraz się poprawił: - Proszę wpuścić. Spławię gościa za trzy minuty.

Do gabinetu wszedł mężczyzna w średnim wieku, o włosach ciemnych, gładko przylegających do czaszki i twarzy o barwie kości słoniowej. Miał na oczach duże okulary w czarnej oprawie. Derbach niedbale uniósł się z krzesła, wyciągnął rękę, ale tamten jej nie przyjął. Jak-

by nie widząc powitania, usadowił się w fotelu przed biurkiem, spojrzał na drzwi i, stwierdziwszy, że są zamknięte, rzekł:

- Nazywam się Antkowiak, ale nie jestem z ministerstwa.

Natomiast reprezentuję w Polsce sprawy państwa Wight z Londynu.

- Jakich państwa? - spytał dyrektor, sądząc, że się przesłyszał.

- Wight. Polecili mi, abym przeprowadził z panem rozmowę dotyczącą ich córki, miss Elizabeth Wight, która przebywała ostatnio w Polsce.

- A cóż to ma wspólnego ze mną? - Derbach błyskawicznie ustalił taktykę i postanowił do niczego się nie przyznawać.

- Panna Elisabeth spędziła noc w pańskim mieszkaniu - powiedział obcy mężczyzna takim tonem, jakby oznajmił o trzęsieniu ziemi.

- Nie znam żadnej panny Elizabeth Wight. Nie sądzę też, by nocowała w moim mieszkaniu podczas kiedy byłem w Bułgarii.

Chyba, że przygadał ją sobie jakiś włamywacz, ale nie znalazłem żadnych śladów kradzieży, czy w ogóle pobytu obcych osób w domu.

- Panna Wight spędziła tę noc z panem - podkreślił tamten z naciskiem.

Derbach przymrużył oczy i rozparł się na fotelu.

- Chyba bym o tym wiedział. Nie sądzi pan?

- Owszem, wie pan. Bardzo dobrze. Byliście przedtem nad

Zalewem, zawiózł pan ją tam swoim samochodem marki fiat

125p, numer...

- Czy pan jest adwokatem tych państwa?

- Pełnomocnikiem.

- A czy ta panna Wight ma do mnie jakieś pretensje? Żle

wywiązałem się z zadań owej nocy? - Derbach roześmiał się,

wyjął papierosa, zapalił. - Pochlebiam sobie, że gdyby to, co pan

mówi było prawdą, panna Elizabeth nie wyraziłaby

niezadowolenia.

- Rodzice panny Wight - obcy pominął milczeniem

samochwalstwo dyrektora - polecili mi oznajmić panu, że

wystąpią na drogę sądową, oskarżając pana o uwiedzenie osoby nieletniej.

- Nieletniej?! - Derbach aż uniósł się w fotelu. - Ona ma być nieletnią? Ależ to bzdura, przecież ta dziewczyna... -urwał, zagryzł wargi. Zrozumiał, że w tej chwili popełnił fatalny błąd.

Przybysz milczał chwilę, jakby dając mu możliwość do rozważenia sytuacji. Potem rzekł pojednawczym tonem:

- Widzi pan, na nic się przyda wypierać znajomości. Już pan się zdradził. Zresztą, różni ludzie was widzieli nad Zalewem i w „Europejskiej”.

- Dobrze. Znałem, bardzo zresztą przelotnie, pannę Wight.

Byliśmy rzeczywiście nad Zalewem i w barze „Europejskiej”.

Natomiast nigdy nie byliśmy razem w moim mieszkaniu. Ani w ogóle w żadnym innym. A jeżeli ktoś tę dziewczynę zgwałcił, to w każdym razie nie ja. Nie wolno zwałać na mnie tego, co zrobił jakiś łobuz. Ja nie uwodzę nieletnich.

- Panna Wight twierdzi, że przez cały czas pobytu w Polsce poznała w celach towarzyskich tylko jednego mężczyznę i że był nim właśnie pan.

- Panna Wight może sobie twierdzić, co jej się podoba, ale to wcale nie musi być prawdą. To zwykła szan-tażystka!

Poczerwieniał z irytacji. Wstał i zaczął nerwowo krążyć po gabinecie. Obcy wodził za nim wzrokiem, wreszcie powiedział:

- Chciałbym, aby pan się zastanowił, jak znaleźć najlepsze wyjście z tej przykrewj sytuacji. Zadzwońę do pana za kilka dni, może

dojdziemy do porozumienia.

Dyrektor drgnął, zatrzymał się na środku pokoju. Przyglądał się

przybyszowi, oceniając w duchu, z kim właściwie ma do

czynienia. „Czyżby ten cały pełnomocnik gonił za forszą” -

pomyślał ze zdziwieniem. I nagle nabrał podejrzeń, że go

oszukują.

- Proszę pokazać mi jakiś dowód, że pan jest pełnomocnikiem

tych państwa - powiedział szorstko. Usiadł za biurkiem, czujny,

naprężony nerwowo.

- Proszę uprzejmie. - Obcy położył przed nim blankiet, opatrzony na dole pieczętką angielskiego notariusza, wyżej był krótki tekst po angielsku. Derbach znał ten język, przeczytał uważnie. Cóż, wszystko się zgadzało. Nazwisko, adres londyński - ten sam, który miał w portfelu. Upoważnienie było wystawione dla: Mister Antkowiak, Warsaw.

- Dlaczego pan przedstawił się sekretarce jako pracownik ministerstwa? - spytał oddając blankiet.

- Bo nie chcę panu sprawiać większych kłopotów, niż pan już ma.

Nie leży to w moim interesie.

- A co leży w pańskim interesie? - rzekł Derbach cicho,

oddzielając sylaby. Przechylił się przez biurko, patrząc na tamtego z pozornym spokojem. Był wściekły, lecz potrafił się opanować.

- Pozytywne załatwienie tej sprawy.

- To znaczy?

Antkowiak podniósł się z krzesła, uśmiechnął się lekko.

- Zadzwoń do pana. Powiedzmy, za trzy dni. Do widzenia.

Derbach nie odpowiedział. Z kwadrans siedział nieruchomo, przetrawiając w myślach to, co usłyszał. Nie mógł w żaden sposób uwierzyć, aby Liz była nieletnią dziewczyną. Wiedział też, że nie był pierwszym mężczyzną w jej życiu.

A więc o co tu chodzi? Wróciła do Anglii i - co opowiedziała rodzicom, że zdecydowali się składać na niego skargę do



polskiego sądu? Może to jakieś ciemne typy, zawodowi

szantażyści? A może nie ma żadnych rodziców, tylko sama Liz

razem z tym Antkowiakiem próbuje ubić jakiś interes?

Poczuł, że robi mu się gorąco. Teraz dopiero przypomniał sobie

chłopaka, który szeptał mu pozdrowienia od Królowej Nocy.

Ładna historia! Wpadł pewnie w łapy szajki szantażystów, będą

ciągnąć z niego forszę, nie wygrzebie się z tego.

- A gdzie dowody? - mruknął, zapalając papierosa. Wieczorem

zajrzał do znajomego, który pracował

w branży hotelowo-gastronomicznej i z racji tego miał niezliczone

ilości informacji o swoich klientach.

Nie wtajemniczając go w meritum, wtrącił jakby mimochodem w rozmowie, że w hotelu „Europejskim” przebywała niedawno Angielka, pani Elizabeth Wight, której został przedstawiony, a która zrobiła na nim miłe wrażenie.

- Nie dziwię ci się - rzekł, stawiając przed dyrektorem filiżankę z kawą i podsuwając cukier. - To urocza staruszka.

- Co? - spytał Derbach nieswoim głosem. O mało nie wypuścił z ręki filiżanki. - Coś ty powiedział?!

- Mówię, że urocza staruszka - odparł znajomy, nieco zdziwiony reakcją. - Przyjeżdża do nas rokrocznie od wielu lat. Miała syna, który jako oficer RAF-u, zrzucony w polskie lasy, walczył w partyzantce, a następnie zginął w Powstaniu. Pani Wight zawsze w sierpniu odwiedza jego grób na Powązkach... Co się z tobą dzieje?

- Nic - wyjąkał dyrektor. Czuł, że ma zupełnie mokre czoło i nos, wyciągnął chustkę, wytarł twarz.

- Źle się czujesz? Może kieliszek koniaku?

- Chętnie. Wiesz, rzeczywiście tak mi się jakoś zakręciło w głowie. Nic, zaraz przejdzie. Jestem trochę przepracowany.

Opowiedz mi coś więcej o tej Angielce, to bardzo interesujące.

- Cóż ci mogę dodać... poznałeś ją, to wiesz, jak wygląda. Z roku na rok coraz bardziej bieleją jej włosy, robi się taka maleńka,

jakby skurczona, jak to stary człowiek. Przemiła pani, kulturalna, cicha, łagodna. Mówi troszkę po polsku, podobno specjalnie się

uczyła. Jeżeli któregoś sierpnia nie przyjedzie, to będzie znaczyło, że już nie żyje. Albo że jest bardzo

chora.

- Ciekawa historia. Nie wiesz, gdzie ona mieszka w Londynie?

- Wiem, bo ją kiedyś tam odwiedziłem. W dzielnicy Kensington, zaraz dam ci bliższy adres.

Chciał wstać, ale Derbach go powstrzymał. Już wiedział, o jaki adres chodzi.

- Nie dziękuję. Nie wybieram się na razie do Londynu. Czy ona nie ma... nie miała innych dzieci prócz syna?

- Nie. Mieszka samotnie, owdowiała dawno temu. Chcesz się żenić? - zażartował i zaraz się poprawił: -

Prawda, że ty już jesteś żonaty. Jak tam w domu, wszystko w porządku?

Pogadali jeszcze chwilę, potem Derbach pożegnał się i wyszedł.

„A to łobuz!” - mruknął do siebie, zapuszczając silnik. Tak więc wyglądała sprawa pełnomocnictwa Antkowiaka i pięknej Liz.

Banda szantażystów, z tym chłopakiem na dodatek. Zakręcili się, wynaleźli nazwisko i adres Angielki, którą w hotelu znają, bo co roku przyjeżdża. Potem wyszukali frajera... Nie! Frajerem, to on nie będzie.

Gwałtownie skręcił w Marszałkowską, aż zajęczały hamulce.

„Żadnych dowodów” - myślał z mściwą satysfakcją. Jeżeli się odezwą, zawiadomi milicję. Powie, że był z dziewczyną nad Zalewem i w lokalu, na tym się skończyło. Cóż, przecież to nie zbrodnia, Wanda zrozumie. Najwyżej trochę się podąsa.

Jeszcze raz dokładnie przebiegł w pamięci wszystkie godziny spędzone z rzekomą cudzoziemką. Czy na schodach ktoś ich widział? Nie. Było późno, zresztą połowa lokatorów na urlopiech.

Rano też nie spotkał nikogo znajomego, taksówka właśnie nadjeżdżała, nie stali więc długo na chodniku. I koniec całej znajomości.

Kupił po drodze duże pudło czekoladek, wszedł do mieszkania i położył przed Wandą z uśmiechem. Podniosła na niego zdziwione oczy.

- Z jakiej okazji? - spytała, unosząc trochę w górę wąskie ciemne brwi.

- To już bez okazji nie można? - zmartwił się.

Mały Krysiek nadbiegł z drugiego pokoju, krzyząc, że na pewno można, nawet codziennie. Zaraz dobrał się do celofanu na pudełku, szarpiąc niecierpliwie przezroczystą osłonkę.

W trzy dni później sekretarka Derbacha, pouczona, jak ma zareagować na telefon Antkowiaka, powiedziała do słuchawki:

- Nie, proszę pana. Nie ma dyrektora. I nie będzie... Mówię, że nie będzie... Ani jutro, ani za tydzień.

Zajrzała do gabinetu, ale dyrektor miał jeszcze konferencję,

zakrzętnęła się więc tylko przy filiżankach z kawą i wyszła. Potem zapomniała o telefonie, a Derbach nie pytał. Spieszył się, mieli z Wandą iść do kina. Umówili się przedtem w kawiarni.

Przyszedł pierwszy, zajął stolik, zamówił kawę i tort serowy, nie zdążył w fabryce zjeść obiadu. Rozwinął „Express”, pomieszał cukier w kawie i sięgnął do talerzyka. Dopiero wtedy zauważył, że po drugiej stronie stolika ktoś usiadł.

- Zajęte, proszę pa... - urwał, poczerwieniał z gniewu. To był

Antkowiak. Spoza okularów patrzyły na Derbacha oczy tak wyblakłe, jakby zmyto z nich całą farbę.

- O co chodzi? - rzucił szorstko. - Jestem umówiony.

- Pan nie chciał rozmawiać ze mną przez telefon - rzekł

Antkowiak z nutą ubolewania w głosie. - Dlaczego?

- Nie rozmawiam z szantażystami. Proszę odejść od stolika.

- Woli pan sprawę sądową?

- Albo pan natychmiast odejdzie, albo wezwę milicję! Tamten

milczał chwilę, potem rzekł ze zdziwieniem:

- Przecież pokazałem panu pełnomocnictwo państwa Wight.

Derbach wybuchnął śmiechem, zaraz go powściągnął.

- G... nie żadne pełnomocnictwo - odparł szeptem, nachylając się

ku Antkowiakowi. - Słyszysz pan? Nie istnieją państwo Wight i ich

córka Elizabeth. Istnieje i co roku do Polski przyjeżdża stara

Angielka, która nie ma z wami nic wspólnego. Posługujecie się jej

nazwiskiem i adresem prawem kaduka. I won od stolika, bo

zawołam milicjanta.

- Chyba nie - powiedział Antkowiak. Wyjął coś z kieszeni, położył

przed dyrektorem na szklanym blacie. - Chyba jednak nie wezwie

pan milicji.

- Co to jest? - Derbach wziął do ręki nieduży kawałek papieru i

przyjrzał mu się.

Było to zdjęcie. Wyraźne, aż za wyraźne. Osłupiałym wzrokiem

wpatrywał się w fotografię, nie mogąc zrozumieć, jak i gdzie

została zrobiona.

- Drzeć nie warto - uprzedził Antkowiak, widząc palce,

zaciskające się coraz mocniej na papierze. - Mam przecież

negatyw.

W tym momencie Derbach dostrzegł na zdjęciu makatkę nad

tapczanem, reprodukcję Goi i zarys szafki baru. Poczł zimno

przebiegające mu przez całe ciało. Fotografia została zrobiona w

jego mieszkaniu, na jego tapczanie.

- Kiedy?! - mruknął, przerażony i zdumiony.

- Nietrudno umieścić w pokoju świetny, mały aparacik z samowyzwalaczem - zauważył Antkowiak z ironicznym uśmiechem.

- Ścierwo! - powiedział Derbach, patrząc na niego z nienawiścią. -

Ty i ona. Banda szantażystów!

- Nie radzę tak ostro. Mógłbym się obrazić, a wtedy... - zawiesił głos ostrzegawczo.

Nagle Derbach przypomniał sobie, że w każdej chwili do kawiarni może wejść żona. Zerwał się z krzesła, tamten wstał również, uważnie śledząc jego ruchy.

- Ile - rzucił dyrektor ostrym tonem, zerkając co chwila na drzwi. - Szybko!

- Pięć tysięcy - odparł Antkowiak.

- Ale tylko z negatywem. I z rączki do rączki, bez cudów.

- Oczywiście, że z negatywem - uśmiechnął się szantażysta.

- Gdzie i kiedy?

- Pojutrze, dziewiąta wieczór, na Placu Defilad. Przy tej letniej piwiarni.

- Dobrze. Idź pan już, prędzej!

Antkowiak zręcznym ruchem zgarnął ze stołu zdjęcie i ulotnił się.

Dyrektor ciężko opadł na krzesło, zasłonił ręką czoło. Jakże był rad, że żona spóźnia się, błagał ją w myślach, żeby dała mu jeszcze choć kilka minut na opanowanie się. Ręce mu drżały,

wypił kawę i poprosił kelnerkę o jeszcze jedną. Kiedy przyniosła, w drzwiach kawiarni ukazała się Wanda. Pomachał do niej gazetą, wskazując krzesło. Podeszła i powiedziała z ożywieniem:

- Już nie będę siadać, nie zdążymy na seans. Ledwie zdobyłam bilety, taki tłok! Musi być dobry film. Chodź prędej!

Zapłacił, wyszli. W kinie siedział czas jakiś z przymkniętymi oczami, rozboleła go głowa. Z trudem chwycił sens tego, co dzieje się na ekranie, wciąż miał w pamięci rozmowę z Antkowiakiem:

„Gdzie ona ukryła aparat? -myślał - i kiedy? Pewnie jak wyszedł do kuchni. No tak, kilka minut. Wystarczy. Ale gdzie go umieściła?... Radio grało, nie słyszałem szmeru migawki... A potem, chyba w nocy gdy spałem, po cichu wstała, zabrała aparat, schowała do torebki”.

Przypomniawszy sobie, że torebkę miała dość dużą, z miękkiej, jasnej skóry. Jeżeli to był jeden z japońskich aparacików, to zmieściłyby się tam ze trzy takie, prócz innych drobiazgów.

Wreszcie seans się skończył. Wanda była oczarowana grą Moniki Vitti, film zresztą był naprawdę dobry, chwilami bardzo zabawny, cóż, kiedy Derbach nie był w stanie go podziwiać. Na pytanie żony, dlaczego jest taki milczący i bez humoru, odparł, że źle się czuje.



## ROZDZIAŁ II

Zastanawiał się - wziąć fiata czy taksówkę, w końcu poszedł pieszo. Wieczór był ciepły, na ulicach spacerowało mnóstwo przechodniów, przytulone pary, zmęczone wycieczki, opaleni turyści z plecakami. Mijał ich niecierpliwie, czasem jakaś sylwetka kobieca zatrzymywała jego uważny wzrok, podświadomie szukał Liz, choć nie wiedział, jak ma się zachować, gdyby ją spotkał.

Mimo wszystko nie mógł tak łatwo pogodzić się z myślą, że przyszła do niego tylko celem szantażu, tylko dla pieniędzy.

Piekła zadrażniona ambicja, wracały - teraz dopiero - wspomnienia wycieczki nad Zalew, czuł, że dziewczyna w dalszym ciągu podoba mu się, jakkolwiek powinna wzbudzać niechęć.

Derbach wiedział, że mimo swoich pięćdziesięciu lat wciąż jeszcze ma u kobiet niemałe powodzenie. Był wysoki, dobrze zbudowany, włosy, wcale nie przerzedzone i z lekka tylko siwiejące, dodawały męskiego uroku, rysy twarzy były dość regularne, uśmiech pociągający. I jeżeli rzadko kiedy miewał przygody, to nie z braku powodzenia, lecz po prostu dlatego, że kochał Wandę i wystarczała mu w zupełności.

Teraz jednak został brutalnie wyprowadzony w pole, oszukany, a w dodatku szantażowany przez obrzydliwego faceta. „Nauczka na

przyszłość" - myślał, przecinając Świętokrzyską. „Mam ładną, miłą i mądrą żonę, a wystarczyło, że wyjechała na parę tygodni, a już zacząłem podrywać. Morał z tego jasny, tylko jak zwykle za późno".

Spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta. Nagle postanowił, że się spóźni. Niedużo, powiedzmy dziesięć minut. Tak żeby tamten nie myślał, że mu bardzo zależy. Wystarczy zresztą obejść spokojnym krokiem Plac Defilad samym brzegiem i dopiero potem zajrzeć do tej piwiarni. Akurat będzie dziesięć minut.

Antkowiak oczywiście czekał, kręcąc się niespokojnie po ścieżce. Na widok Derbacha, wyłaniającego się z ciemnej alejki, odetchnął z ulgą. Nie próbował podać mu ręki, powiedział tylko: dobry wieczór, co zostało pominięte milczeniem.

- Zdjęcia i negatyw - zażądał Derbach. - Skąd mogę wiedzieć, że nie zrobił pan więcej odbitek?

- Nie zrobiłem. Po co? Nikt inny mi za takie zdjęcie nie zapłaci poza panem. A mnie interesują tylko pieniądze. Mógłbym, naturalnie, za pomocą tych fotografii spowodować pewne zmiany na stanowisku wicedyrektora w pańskiej fabryce, ale mi na tym nie zależy.

- Świnia - powiedział Derbach.

Zacisnął pięści, wiedział jednak, że nie wolno dać się sprowokować. Awantura to natychmiast milicja, a milicja to wszystkie karty na stół. Może pożegnać się ze stanowiskiem,

pewnie i z żoną.

Antkowiak nie odpowiedział na obelgę. Wyjął z kieszeni małą paczuszkę, rozwinął i podał. Dyrektor zbliżył się trochę do kręgu światła, rzucanego przez pobliską latarnię, sprawdził, czy na negatywie jest to samo, co na zdjęciu, potem wyciągnął w kierunku Antkowiaka plik pięćsetek.

- Chwileczkę - powstrzymał go tamten, widząc, że zamierza odejść. - Muszę przeliczyć.

Wreszcie rozstali się, bez słowa. Derbach wszedł do ulicznej toalety, zamknął się w kabinie, przytknął płomień zapalniczki do fotografii, potem do negatywu. Resztki wrzucił do muszli, splukał wodą. „Koniec” - odetchnął.

Postanowił na razie omijać bar „Europejski”, choć żał mu było trochę, bo lubił ten lokal. Zapomnieć o nieszczęsnej przygodzie, o Liz, czy jak tam się ona rzeczywiście nazywa, o Antkowiaku i o tym wszystkim.

„A swoją drogą, ciekawe - myślał, wracając do domu - czy też udała im się podobna historia z którymś z moich znajomych. Ba!

Ale jak się dowiedzieć?"

Przez krótką chwilę pożałował, że nie spytał o to Antkowiaka.

Minęło kilka tygodni. Wicedyrektor Derbach wyjechał służbowo do Francji, po powrocie było w domu sporo uciechy, bo przywiózł żonie trochę ładnych drobiazgów, a synowi pluszowego misia, który po nakręceniu chodził, siadał, mruczał i tańczył.

W fabryce zastał szykujące się zmiany, naczelny miał odejść do zjednoczenia i Derbachowi dawano do zrozumienia, że ma szansę.

Główny inżynier borykał się z kłopotami z filią w Białostockiem, za którą odpowiadał, toteż można było sądzić, że kandydatura Derbacha jest mocna.

Podniecony perspektywą awansu, rozważał w duchu nęcącą propozycję, radził się Wandy i paru bliskich osób. Stanowisko było tyle wysokie, ile ciężkie. Naczelny dyrektor w zasadzie odpowiadał za wszystko. Ale - jest to jednak naczelny, nie zastępca.

Późnym wieczorem, kiedy Wanda poszła już spać, usiadł przy biurku w swoim pokoju, aby raz jeszcze przemyśleć sytuację.

Czuł, że sprawa rozstrzygnie się w najbliższych dniach.

Oczywiście powiedzą: - Towarzyszu Derbach, chcemy wam zaproponować... ale wtedy będzie za mało czasu na rozmyślanie.

Musi już dziś zdecydować: podejmuje się, czy nie.

Cicho zabrzączał telefon na biurku. Podniósł słuchawkę.

- Proszę.

- Będę miał zaszczyt ujrzeć jutro pana dyrektora - usłyszał czyjś głos. Nie poznał go i skojarzył to zdanie z zapowiedzią nominacji.

- Bardzo mi miło - odparł. - A z kim mówię, bo jakoś ten aparat zmienia głos.

- Chyba nie. Po prostu, mało rozmawialiśmy z sobą przez telefon.

- Tak? - zdziwił się. - Przykro mi, ale nie poznaję.

- Zaraz wyjaśnię. Zaznaczam jednak, że jeśli pan odłoży słuchawkę, będzie to w skutkach bardzo niedobre. Dla pana, oczywiście.

W tym momencie poznał, z kim rozmawia. Poblądł, chciał rzeczywiście rzucić słuchawkę, ale pomyślał, że tamten nie da mu spokoju, więc nie warto.

- Przecież zakończyliśmy nasze interesy - rzekł cicho. Bał się, że w drugim pokoju słyhać rozmowę. Wanda mogła się zbudzić.

- Nic podobnego. Czekam pana jutro wieczorem, o dziewiątej przed kinem „Atlantic”. I szczerze radzę: lepiej, żeby pan przyszedł.

Trzasnęła słuchawka. Odłożył swoją, myśląc gorączkowo, co robić. Jest jeszcze jedno zdjęcie - tak, to było jasne. A jeżeli więcej niż jedno? Ile będzie musiał zapłacić, aby uciszyć szantażystów?

Długo w noc siedział za biurkiem, gniewny i nieszczęśliwy, nie

miał pojęcia co począć, jak pozbyć się Antkowiaka i jego bandy.

Jedno było niewątpliwe: wpadł. Chwilami zdawało mu się, że Wanda może go zrozumie i wybaczy. Potem znowu sądził, że nigdy. Gdybyż to nie odbyło się w ich własnym mieszkaniu! A być może jeszcze istnieje zdjęcie Lizy w szlafroku żony; był pewien, że Wanda natychmiast bezbłędnie rozpozna biały jedwab, kobiety mają wyczulone oko na takie rzeczy.

Tym razem przyszedł punktualnie. Antkowiak już był, może czekał od dawna, pewnie mu bardzo zależało na pieniądzach. Odeszli trochę na bok, tamten pokazał nowe zdjęcie i Derbach poczuł, że robi mu się na przemian zimno i gorąco. Sytuacja, w jakiej znajdował się wraz z Liz na fotografii, była absolutnie jednoznaczna. W dodatku na poręczy fotela, doskonale widoczny, pobłyskiwał w świetle biały, jedwabny szlafrok.

- Ile pan ma jeszcze tych zdjęć? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Gdyby miał w kieszeni pistolet, nie potrafiłby się opanować.

- Na razie niech pana interesuje to jedno - odparł Antkowiak.

- Panie... niechże pan zrozumie - zająkał się z wściekłości -

przecież ja nie mam kopalni pieniędzy! Niech pan się zastanowi...

- urwał, czując, że jeszcze chwila, a zacznie prosić tego człowieka o łaskę.

- Piętnaście tysięcy - powiedział szantażysta. I dodał z

uśmiechem, jak wtedy: - Naturalnie, oddam zdjęcie z negatywem.

- Nie mam tyle - rzekł Derbach bezsilnie. Oparł się o mur, zrobiło mu się niedobrze.

- Może pan coś sprzedać - zauważył Antkowiak.

- Cóż ja mogę sprzedać? - wzruszył ramionami. - Nie hoduję

pomidorów, nie sieję cebuli. Pan ma źle w głowie.

- Choćby samochód. Wart więcej, niż piętnaście.

- Nie sprzedam fiata! - rzucił gwałtownie. - Czekałem na niego

parę lat. - Potem dodał: - Niech pan z tym zdjęciem robi, co chce.

Niech pan idzie do mojej żony. To jest mądry i dobry człowiek,

nic pan u niej nie wskóra.

Antkowiak przyglądał mu się przez chwilę, jakby zastanawiając

się nad tymi słowami. Potem potrząsnął głową.

- Nie. Pójdźcie do pańskiej żony nic by mi nie dało. Macie przecież wspólne pieniądze. Ale gdyby tak na przykład robotnicy w

pańskiej fabryce zobaczyli to zdjęcie w gablocie przy stołówce,

tam, gdzie umieszcza się ogłoszenia... Słyszycie pan ten gromki

śmiech, panie dyrektorze?

Odskoczył na bezpieczną odległość. Derbach szedł w jego

kierunku z zaciśniętymi pięściami, oczy miał straszne, Antkowiak

przesunął się w pobliże kina, kręcili się tam ludzie.

- Piętnaście kawałków - powtórzył z uporem. - Może pan wziąć pożyczkę. Dyrektorowi zawsze dadzą.

- Wezmę pożyczkę, a za tydzień pan zażąda jeszcze piętnaście.

Albo dwadzieścia. I tak w nieskończoność. Ile pan ma tego, panie Antkowiak?

- Sporo - mruknął, odsuwając się metr dalej. - Trudno, panie dyrektorze. Za zabawki z dziewczyną trzeba płacić.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, że mam tylko dwie możliwości: zawiadomić milicję, albo zlikwidować pańską niepożądaną osobę?

Twarz Derbacha, w półświatle padającym z hallu kina, była ciemna, jakby cała krew uderzyła mu do głowy. Mówił świszczącym szeptem, odmierzając słowa. Był wyższy od swego rozmówcy zaledwie o kilka centymetrów, ale teraz wydawało się, że góruje nad nim niczym olbrzym.

- Ma pan jeszcze trzecią możliwość: płacić. Tamtych dwóch pan nie wykona.

Derbach milczał przez chwilę. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza, przez cienki ortalion widać było, że zacisnął pięści.

Antkowiak znów odsunął się o pół kroku.

- Mogę mieć pieniądze najwcześniej za trzy dni - rzekł wreszcie dyrektor. - I nie wiem, czy aż tyle.

- Potrzebuję piętnaście tysięcy. Ani złotówki mniej. Niech pan się dobrze zastanowi! Każdego dnia kilka takich odbitek może znaleźć się w różnych miejscach fabryki.



- Za trzy dni, w tym samym miejscu, o tej samej godzinie -

warknął Derbach. Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Czuł, że jeszcze parę minut dłużej, a rozpocząłby na ulicy ordynarną bójkę, nie licząc się z nikim i niczym. Gniew kipiał w nim, serce waliło nieprzytomnie, po plecach spływały stróżki potu. W myśli obrzucał Antkowiaka najgorszymi słowami, dałby wiele, aby móc rozkwasić ten obrzydliwy pysk, kopnąć, zniszczyć raz na zawsze.

Przystanął, rozejrzał się po ulicy. Na rogu był bar. Wszedł, kazał sobie podać setkę wódki, wypił jednym haustem, zamówił drugą. Barmanka bez słowa postawiła obok kieliszka talerz z kanapkami, ale Derbach odsunął go niecierpliwie. Po trzeciej setce zakręciło mu się w głowie, kolana miał jak z waty. W uszach przyjemnie szumiało, świat był jakiś daleki i nieważny.

Zapłacił i wyszedł. Czuł otępienie, radował się brakiem problemów, wszystko - z Antkowiakiem włącznie - wydawało się dziwnie proste i łatwiutkie.

Wanda zdziwiła się i trochę przestraszyła jego wyglądem. Oczy miał przymglone, twarz mocno zaczerwienioną, na ustach głupkowaty uśmiech. Poczwała woń alkoholu, pokiwała głową.

- Dać ci kawy? - spytała i nie czekając na odpowiedź odeszła do kuchni.

Kiedy wróciła z filiżanką parującej neski, Derbach spał już twardo na fotelu, w płaszczu i w butach, pochrapując ciężko. Z trudem

rozebrała go, rozłożyła pościel, przepchnęła jakoś małżonka z fotela na tapczan. Wszelkie wymówki odłożyła na następny dzień.

Z książeczki PKO podjął dziesięć tysięcy, resztę dokończył od znajomego. Wręczył Antkowiakowi żadaną sumę, odebrał zdjęcie i negatyw, a potem rzekł stanowczym tonem:

- Przemyślałem już wszystko. Jeżeli jeszcze raz pan się do mnie odezwie, zawiadomię o wszystkim milicję.

- Przypominam o możliwości rozklejenia odbitek w fabryce - odparł Antkowiak, chowając pieniądze.

- Rozmawiałem już o tym, z kim trzeba. Żadne rozklejanie panu się nie uda. Fabryka to mój teren, nie pański. I potrafię na nim się obronić, słyszy pan?

Odwrócił się na pięcie i odszedł jak poprzednim razem, nie czekając na odpowiedź.

To, co powiedział, niezupełnie było prawdą. Nie rozmawiał z nikim w fabryce, ani w ogóle gdziekolwiek, bał się zdradzić choćby jednym słowem, że jest szantażowany, bo ujawnienie faktu musiało pociągnąć za sobą wyświechtanie całej prawdy, a tego nie chciał za nic. Wiedział wprawdzie, że tak zwane męskie przygody, zwłaszcza w jego wieku, przez niektóre osoby uważane są nie

tylko za miłą atrakcję, lecz przede wszystkim za dowód tężyzny i

sił żywotnych, które to atrybuty zwykły mijać z upływem lat. I

gdyby rzecz mogła się ograniczyć do pogawędki w męskim gronie

kolegów - ba! nie miałby nic przeciw temu.

Tutaj jednak szło o inną stawkę. Szantażyści dysponowali

najgroźniejszą bronią: ośmieszeniem. „Śmieszność zabija” - mówi przysłowie i jest w tym sporo  
prawdy. Derbach wolał, aby

obrzecono go obelgami, bo z tym łatwo dałby sobie radę, zresztą

broniliby go inni. Jeżeli jednak zostanie ośmieszony... Nie, do tego w żaden sposób nie wolno  
dopuścić.

Miał w fabryce sporo osób naprawdę mu życzliwych. Nie wyobrażał sobie jednak rozmowy z kimkolwiek na temat Liz, zdjęć i szantażu. Będą mu oczywiście współczuć, poddawać różne sposoby rozprawienia się z Antkowiakiem - tak, na pewno. Ale za oczami będą się z niego nabijać, nie zostawią suchej nitki na skompromitowanym dyrektorze, skomentują każdy szczegół na fotografii, wydrwią, wyśmieją.

A więc - co robić? Zawiadomić milicję? Znał komendanta dzielnicy. Ten szpakowaty podpułkownik świetnie zna życie i nie będzie się niczemu dziwił. Zarządzi obstawę, ujmą Antkowiaka, posadzą. No i co? Oczywiście, rozprawa sądowa. Czy całkowicie przy drzwiach zamkniętych? Czy nie wciśnie się na salę jakiś przedsiębiorczy dziennikarz? Któż zaręczy, że nikt z prokuratury nie udostępni mu akt; Derbach wiedział, że nawet nie może się tego domagać, bo niby z jakiego tytułu.

Wzdrygnął się na myśl, ile by go czekało drobnych może, ale dotkliwych upokorzeń, ile uśmiezków widziałby na czyichś twarzach. W dodatku zawsze znajdą się ludzie, którzy zarzucą mu brak moralności, rozbijanie rodziny, wytkną „włóczenie się po lokalach” i „kontakty z prostytutkami”. Jego praca, zasługi w rozwoju fabryki, umiejętności, doświadczenie zawodowe -

wszystko to będzie nieważne dla kogoś, kto zechce zamiast niego znaleźć się na stanowisku naczelnego dyrektora. A może nawet i

wicedyrektora.

Znów przyszedł mu na myśl komendant dzielnicy. Gdyby, na

przykład, w trakcie towarzyskiej rozmowy wtrącić coś w ogóle o

szantażu. Że to niby jakiś znajomy, przytrafiło mu się i nie wie, co robić. Wzruszył ramionami. Komendant powie oczywiście, że

najlepiej zawiadomić milicję. No bo co ma innego powiedzieć? A

potem spojrzy na niego podejrzliwie i pomyśli sobie to i owo.

Nie! Wykluczone. Z milicją nie można zaczynać, bo jak się powie

A, trzeba i B. Co innego, gdyby miał tam krewnego czy

przyjaciela. Ale nie ma.

„Co robić? - szepnął, wchodząc na schody. - No, co robić?!”

Przez tydzień przesiadywał do późna wieczór w fabryce, bojąc się zatroskanych oczu Wandy i jej ciągłych pytań, co mu jest, czy nie chory, czy coś się nie stało złego. Odpowiadał siłąc się na spokój, z trudem przywoływał na usta uśmiech, całował ją tak serdecznie, jak tylko umiał, bo była mu teraz bardzo bliska i bardzo potrzebna. Ale na dłuższą metę nie był w stanie tego znieść. Więc wymawiał się od rozmów pilną robotą w fabryce, wracał tak późno, że spała, rano wyjeżdżał wcześniej niż dawniej. Po powrocie do domu wyłączał telefon. To była obrona przed następnym atakiem szantażystów.

Nie chodził do lokali ani do kina, wypracował sobie taki układ dnia, że Antkowiak nie mógł do niego podejść ani rozpocząć rozmowy, chyba, żeby na siłę wpakował mu się do samochodu, ale tego jakoś nie próbował.

Derbach wzmocnił też swoje kontakty z komendantem fabrycznej Straży Przemysłowej. Uzyskał dwa etaty więcej, sam zaangażował młodych, silnych strażników, nakazywał w bramach starannie kontrolować wchodzących i nie wydawać przepustek nikomu obcemu bez jego zezwolenia. Doprowadził w końcu do tego, że przed okienkiem stały długie kolejki wściekłych interesantów, zaopatrzeniowców, dostawców, kooperantów, a sekretarka zwierzała się koleżankom przy kawie, że „Kaziu zwariował”.

Wreszcie wmieszało się Zjednoczenie, interpelowane przez

swoich urzędników, którzy nie mogli dostać się do fabryki. A kiedy przed bramą wjazdową strażnik zatrzymał samochód ministra, domagając się przepustki podpisanej przez wicedyrektora - Derbach został zaproszony na rozmowę, w której wytknięto mu zbyteczną gorliwość w ochronie mienia państwowego i tajemnicy służbowej.

Milczał pełen skruchy i wyrzutów sumienia. Nie mógł bowiem powiedzieć, że nie owo mienie ani tajemnica są przyczyną jego nadgorliwości, lecz obawa przed wejściem Antkowiaka na teren fabryki. Musiał jednak zmienić metody pracy strażników, a wówczas obawa wzrosła.

Krążył podejrzliwie po korytarzach, rozglądał się po wszystkich gablotach, pilnie studiował fotografie, wywieszane przez kółko wędkarzy lub Ligę Ochrony Przyrody -aż po fabryce poszły wieści, że kontroluje gazetki ścienne, co zaniepokoiło wszystkich, którzy mieli z tym coś wspólnego. Zaraz też pojawiły się nowe zdjęcia, świeże informacje, barwniejsze plakaty, a zakładowy plastik spodziewał się premii.

Wszystko to, myślał Derbach, mogło zawieść. Każdego dnia, każdej minuty, kiedy on będzie na konferencji, albo w zjednoczeniu, czyjaś nikczemna ręka zawiesi w jednej z gablot - a może w kilku - kompromitujące zdjęcie. I choćby wisiało bardzo krótko, choćby obejrzało je zaledwie paręnaście osób, na drugi dzień będzie o tym wiedzieć cała załoga. Bo taki już jest ten świat i ludzie.

Po tygodniu - była właśnie niedziela - Wanda zmusiła go wreszcie

do poważnej rozmowy.

- Słuchaj, Kazik - zaczęła stanowczym tonem - tak dłużej być nie

może. Tobie coś jest, ale kryjesz się z tym przede mną. Nie chcesz rozmawiać, zmarniałeś, nie śpisz w nocy. Powiedz mi, o co

chodzi. Przecież zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi, poza

wszystkim innym.

Westchnął, przetarł oczy znużonym ruchem.

- Źle się czuję - odparł wymijająco.

- Nieprawda. To nie jest choroba, ciebie coś gnębi. Dlaczego nie

chcesz być ze mną szczerzy? - I dodała z niepewnym uśmiechem: -

Chyba... chyba nie zakochałeś się w kimś?

- Nie, kochana. Powiedziałbym ci. Zresztą, nie wyobrażam sobie

życia z inną kobietą niż z tobą.

- Więc o co chodzi? - wybuchnęła z żalem. - Co ty przede mną

kryjesz?

Już miał na ustach wyznania, kiedy przyszło mu na myśl, że

właśnie tego Wanda mu nie wybaczy. Tego, że zaraz po jej

wyjeździe. Że w ich własnym mieszkaniu. Że z taką... pierwszą

lepszą, dopiero co poznaną gdzieś w barze. No i ten szlafrok.

Naraz usłyszał jak mówi: „Nosiła moje rzeczy, pozwalaleś na to,

pewnie znałeś ją od dawna, tylko teraz kłamiesz, pewnie robiliście to już nieraz, podczas każdego urlopu, kiedy mnie nie było!"



Zaciął wargi, odchrząknął.

- Mam kłopoty w fabryce - powiedział, nie patrząc na nią. - W

Zjednoczeniu podstawiają mi nogę - skłamał i uczeplił się tego, jak wybawienia. - Podobno mają do mnie jakieś pretensje, a może też

chęć swojego kandydata. To mnie gryzie.

Patrzyła na niego uważnie, marszcząc brwi.

- Zawsze mówiłeś, że w Zjednoczeniu lubią cię i popierają - rzekła w końcu, nieprzekonana. - Co się tak nagle zmieniło?

- Nie wiem. Masz proszek od bólu głowy?

- Zaraz ci dam. I zrobię herbaty. Połóż się, po proszku trzeba

spokojne poleżeć, inaczej nie działa.

Odetchnął, jakoś się wykręcił od rozmowy, wiedział jednak, że

Wanda nie wierzy w jego argumenty. Łyknął proszek, wyciągnął

się na tapczanie. Potem zasnął. Nie słyszał, jak wyszła z Kryśkiem na spacer. Obudził się po godzinie, zadowolony, że jest sam w

mieszkaniu. Kiedy wyciągnął rękę po zegarek, zadzwonił telefon.

O tej porze, w niedzielę zwykle odzywała się jego matka,

zapowiadając, albo odwołując swoje przyście na obiady. Toteż

był pewien, że to ona i sięgnął po słuchawkę.

- Oczekuję pana dyrektorze we czwartek, to znaczy jutro,

wieczorem - usłyszał zniechęcony głos. - Najlepiej o dziewiątej, w pobliżu kina Wisła na Placu Komuny.

- Czego pan chce? - rzucił, dobrze wiedząc, że tamten zażąda

znowu pieniędzy.

- Jestem skromny, panie dyrektorze i nie będę pana żyłował.

Wystarczy mi ponownie piętnaście tysięcy.

Nagle Derbach zdecydował się.

- Dobrze - powiedział. - Będę jutro wieczorem pod kinem

„Wisła”.

Cisnął słuchawkę, aż potoczyła się po biurku i zawisła, kołysząc

się na spiralnym kablu. Przez chwilę przyglądał się jej

bezmyślnie, potem odłożył na widełki. Z kamienną twarzą i

zaciśniętymi ustami podszedł do szafy, otworzył ją i zaczął

przeglądać swój myśliwski ekwipunek. To, co mogło najlepiej

posłużyć do celu, jaki postanowił osią-

gnąć, było bardzo niewygodne i po prostu nie nadawało się do

działania na ulicy. Przesunął więc tylko palcami po ciemnej

metalowej lufie, starł jakąś plamkę i zajrzał na górną półkę.

Po krótkim wahaniu zdjął krótki nóż myśliwski o szerokim ostrzu,

w ozdobnej pochwie. Spróbował palcem ostrość, Była

wystarczająca. Schował nóż, zamknął szafę i nagle poczuł, że

mięśnie nóg mu zwiotczały. Osunął się na fotel.

„Człowieku, czym ty chcesz być?” - spytał sam siebie. Spokój i bezpieczeństwo... czy za każdą cenę?

Zrozumiał, że nie wykona tego, co przed chwilą zamierzał.

Nie miał pieniędzy. Nie chciał sprzedać fiata, zresztą wymagałoby

to dłuższego czasu, prócz tego bał się pytań Wandy. Nigdy by nie

zrozumiała, że robi to z braku gotówki, wiedziała, ile zarabia i do tej pory doskonale dawali sobie radę.

Pojechał więc na Plac Komuny Paryskiej, mając w portfelu

dwieście czy trzysta złotych. Postanowił tym razem szczerze

porozmawiać z Antkowiakiem. Może uda mu się wytłumaczyć, że

wyciągnął już ile mógł i na więcej liczyć nie może.

Są przecież granice ludzkich możliwości finansowych.

Podjechał pospiesznym „A”, wysiadł, przeciął ulicę Krasińskiego i z wolna zbliżał się do kina. Przed budynkiem było prawie pusto,

ostatni seans zaczął się przed godziną.

Derbach zatrzymał się przed fotosami, rzucając okiem to w prawo,

to w lewo, aby tamten go nie zaskoczył, nie chciał tego, choć nie

umiał sobie wytłumaczyć przyczyny. Obejrzał gablotę, wszedł pod

arkady, ukrył się tam w cieniu, zapalił papierosa i czekał.

Ale Antkowiak się nie zjawiał. Minęła dziewiąta, potem kwadrans

po niej, potem wskazówki zegara przesunęły się jeszcze dalej.

Pusto. Nikt nie nadchodził, nikt już nie stał przed gablotami.

Derbach, szczerze zdziwiony, wyszedł przed kino, zrobił parę

kroków do przystanku autobusu „142”, czekało tam pięć czy sześć osób, nie było jednak między nimi Antkowiaka.

Zaniepokoił się, czy nie pomylił miejsca spotkania. Ale w Warszawie był przecież tylko jeden Plac Komuny i tylko jedno kino „Wisła”. „Właściwie powinienem się cieszyć” -myślał, stojąc niezdecydowanie na chodniku. „Może go wreszcie szlag trafił i będę miał spokój”.

Począł jeszcze kilka minut, było wpół do dziesiątej. Wreszcie postanowił wracać do domu. Nie było sensu stać tutaj dłużej. Po drugiej stronie placu był postój, złapał taksówkę, zafrasowany i niepewny jechał szeroką ulicą, ocienioną bezlistnymi już drzewami, myśląc, czy to już koniec szantażowania - czy też za dzień, dwa wszystko zacznie się na nowo.

Wandy nie było w domu, Krysiek spał. Zaledwie Der-bach usiadł przy biurku w swoim pokoju, odezwał się telefon. Pomyślał, że coś się stało w fabryce, nerwowo chwycił słuchawkę:

- Derbach. Kto mówi?

Z tamtej strony nikt się nie odezwał. Ale przecież ktoś był przy telefonie, słyszał szybki, gorączkowy oddech, jakby ten ktoś zadyszany od biegu nie mógł nabrać tchu w płuca.

- Hallo! - zawołał. - Czy to wartownia?

„Pewnie pożar na którymś z wydziałów” myślał, przyciskając słuchawkę do ucha i próbując uchwycić jakieś dalekie szmery i dźwięki. Spojrzał na zegarek: było pięć po dziesiątej. - Kto jest przy telefonie? - powtarzał, ale było tylko to pospieszne

oddychanie drugiego człowieka, nazbyt widać przerażonego czy zdumionego, aby móc wydobyć z siebie głos.

Miał już odłożyć słuchawkę, chciał sam połączyć się z fabryką i upewnić co zaszło, kiedy wreszcie usłyszał szept:

- Tak się boję, Kazik! Tak się strasznie boję!

- Kto... - zaczął niepewnie i urwał, głos był kobiecy, nie mógł, a raczej nie chciał uwierzyć, że to Liz, ale to przecież musiała być ona. Poznał ten szept, chociaż zniekształcony telefonem. Milczał,

powinien teraz przerwać rozmowę, ta dziewczyna chciała mu

zniszczyć życie, nasłała na nie-

go szantażystę, zależało jej tylko na pieniądzach. Słuchał jednak

jej głosu, nic nie rozumiejąc, czego ona się boi i dlaczego dzwoni właśnie do niego, w dodatku o tej porze.

- Boję się, słyszysz? - nawoływała szeptem. - Pomóż mi, Kazik!

- Co się stało - odparł również cicho, w drugim pokoju coś się poruszyło.

- Czy ty naprawdę przyj...

Szczęknęła słuchawka, głos zamilkł. Derbach siedział czas jakiś

nieruchomo, nie odkładając swojej. Potem pomyślał, że może

zaraz połączy się jeszcze raz, położył słuchawkę na widełki.

Mijały minuty, upłynął kwadrans, potem pół godziny. Telefon

milczał.

Położył się w końcu; sądził, że nie zaśnie, zdrzemnął się jednak, a kiedy zbudził się i spojrzał na zegarek, dochodziła szósta rano.

Wytracony z równowagi, nie wiedząc, co sądzić o tym dziwnym

telefonie, ubrał się spieszenie i pojechał do fabryki.

- Która godzina? - spytał jasnowłosy wywiadowca, spoglądając na

oświetlony kiosk „Ruchu” obok przystanku. Nad ranem zdarzało się, że do kiosków dobierali się włamywacze, najczęściej uciekinierzy z domów poprawczych.

- Kwadrans po czwartej - odparł drugi, barczysty, łysawy, z małym czarnym wąsikiem. - Jeszcze trochę i do domu.

- Ładne: trochę! Prawie godzina.

- Chcesz, połazimy po tym skwerze? - zaproponował, wyciągając z kieszeni paczkę Extra Mocnych.

- Dobra, prędzej czas przeleci. Stasiek - zwrócił się do kierowcy - gdzie będziesz?

- Za kioskiem.

Wyskoczyli z samochodu, jasnowłosa ziewnął szeroko i

przeciągał się. Ten z czarnym wąsem poprawił pałkę wsuniętą w

rękaw, rozejrzał się dokoła, poruszył nozdrzami. W powietrzu

pachniało jesienią, zbutwiałymi liśćmi i benzyną z pobliskiej stacji obsługi. Jeszcze mało kto przemykał się ulicami, było cicho i

śpiąco.

Obeszli skwer dokoła, wypłoszyli pijaka z krzaków, właściwie nadawał się do Izby, ale po wylegitymowaniu trochę wytrzeźwiał i zaczął iść równym krokiem, więc mu dali spokój. Przeszli na drugą stronę, dalej był park, zagłębili się w niego raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, w tym parku na ogół nic się nie działo, zwłaszcza o tej porze.

Łysawy miał lepsze oko. Przerwał rozmowę w pół słowa i patrzył uważnie na ciemną kępę krzaków pod parkanem. Potem wszedł na trawnik, zbliżył się i nachylił. Jasnowłosy zaciekawiał się.

- Co tam jest? - zawołał, a nie otrzymawszy odpowiedzi podszedł w tę stronę, poświecił latarką. - Żyje? - mruknął, chociaż pozycja ciała nie wskazywała na to. Barczysty wywiadowca potrząsnął głową.

- Zimna - odparł. - Zawołaj Staśka. Niech podjedzie bliżej.

Jasnowłosy pobiegł, a jego towarzysz stwierdziwszy, że leżąca kobieta nie żyje, wyprostował się i rozglądał dokoła, chcąc zapamiętać wszystko tak, jak zastał przed chwilą. Wiedział, że za kilkanaście minut przyjadą ci z kryminalnego i będą pytać, do niego zaś należało odpowiedzieć dokładnie i wyczerpująco.

Wywiadowca powrócił zadyszany i rzekł:

- Przekazałem dyżurnemu. Zaraz będzie nasza ekipa. I pewnie ktoś z Komendy Stołecznej.

Przykucnął na trawie obok zwłok, rzucił snop światła na twarz

kobiety, przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Znasz ją? - spytał wywiadowca z czarnym wąsem.

- Nie. A ty?

- Też nie.

- Jak myślisz, rabunkowe?

- Chyba nie. - Wskazał na torebkę leżącą obok ciała.

- Może pusta?

- Nie pusta, jest forsa, dokumenty. Na ręce ma zegarek.

- Pewnie serce. Zawał, czy coś takiego.

Barczysty przyklęknął, ostrożnie odchylił głowę kobiety.

- Widzisz? - spytał. - Cały tył czaszki. Wytarł palce o mokrą trawę.

- Porachunki. Mąż albo kochanek.

Stali potem na ścieżce przy trawniku, spoglądając to na zwłoki, to znów w stronę placu, skąd powinien nadjechać radiowóz służby

kryminalnej. Barczysty wyjął z kieszeni notes.

- Który dziś?

-Jedenasty. Piątek, Znaleźliśmy ją o... Poczekaj, wtedy było

kwadrans po czwartej, łaziliśmy jeszcze po skwerze... powiedzmy

za dwadzieścia piąta. Zrobisz meldunek?

W głosie jasnowłosego była prośba. Dziś na niego wypadło

pisemne odwołanie dwunastogodzinnego dnia służby. Co prawda

nie on pierwszy dojrzał ciało, ale uczciwie dzielili się robotą. Nie znosili meldunków, każdy z nich wolał godzinę dłużej pracować

na mieście.



Nadjechał radiowóz, pojawili się pracownicy wydziału

kryminalnego Komendy Stołecznej i kapitan z dzielnicy. Trup w

parku to było coś niezwykłego w tych rejonach Warszawy -

spokojnych na ogół i bezpiecznych.

Wywiadowcy powiadomili ich krótko, co znaleźli, po czym

jasnowłosa trącił swego towarzysza i rzekł cicho:

- Wiejemy. Dostyc na dzisiaj, już po piątej.

Odjechali do swojej komendy. Porucznik Rączewski z Pałacu

Mostowskich przyglądał się w zamyśleniu leżącej kobiecie. Coś

mu się tutaj nie zgadzało. Ogarnął wzrokiem cały trawnik, a

potem rzekł do kapitana:

- Chyba to nie tutaj.

- Co nie tutaj? - odparł kapitan pytaniem. Myślał dokładnie, ale

wolno. Poza tym nie wysiłał się. I tak Komenda Stołeczna

przejmie śledztwo.

- Nie tu została zabita.

- Dlaczego tak sądzicie?

Rączewski zniecierpliwił się, kapitan nie pomagał mu w próbach

stworzenia wersji zabójstwa. Pomyślał z żalem, że gdyby tu był

Szczęsny, rozumieliby się w pół słowa. Ale kapitan Szczęsny nie

miął dziś dyżuru. Gdyby tak jednak...

Fotograf i lekarz robili swoje, tymczasem Rączewski rozmawiał z radiowozu z oficerem dyżurnym na stanowisku dowodzenia.

Oficer z początku nie chciał się zgodzić, tłumacząc, że o piątej rano nie będzie dla jednego trupa wyciągał z łóżka

doświadczonego pracownika, tylko dlatego, że inny doświadczony pracownik ma wątpliwości. Ale porucznik miał dar wymowy i zmęczony oficer ustąpił.

W jakiś czas później niewysoki szczupły mężczyzna, w skórzanym płaszczu i z gołą głową, wyskoczył z radiowozu i podszedł do stojących. Miał jasne, niemal białe włosy, twarz śniadą i wąskie, podłużne, bardzo czarne oczy.

- Jesteś! - ucieszył się Rączewski - To dobrze.

- Następnym razem ja cię zbudzę o piątej rano - powiedział kapitan Szczęsny, spoglądając na krzaki, trawnik i ciało leżącej. -

Co jest z babką?

- Podejrzewam, że zabito ją gdzie indziej, a potem tu przywieziono.

- Chciałbym dodać - wtrącił kapitan z dzielnicy - że porucznik Rączewski nie ma żadnych podstaw, aby tak przypuszczać.

Szczęsny zmarszczył nos. westchnął lekko.

- Podstawy nie są potrzebne - odparł. - Potrzebny jest węch pracownika sekcji zabójstw, a Tadeusz go ma. Chyba, że stracił.

No dobra, Tadek. Bierzemy się do roboty. Co powiedział lekarz?

- Dwa uderzenia narzędziem tępo-krawędzistym w tył czaszki.

Mniej więcej sześć do siedmiu godzin temu. Młoda, około dwudziestu lat, może trochę więcej. Resztę powiem po sekcji.

### ROZDZIAŁ 3

- To wszystko? - spytał Szczęsny. W głosie jego było rozczarowanie.

- Nie - odparł Rączewski z tajemniczym uśmiechem. - Popatrz, co było w torebce, ukryte pod podszewką.

Położył na biurku małe ruloniki taśmy filmowej, a obok kilkanaście powiększonych zdjęć.

- To negatyw - rzekł - a to zrobione przez nas odbitki. Kapitan przejrzał fotografie, ciemne brwi uniosły mu się wysoko.

- Ładny widoczek... - mruknął. - Kim jest ten facet na zdjęciach?

- Ba! Żebym wiedział.

- Dziewczyna, to ta zamordowana. Musiała być bardzo ładna.

Zauważyłeś, że z negatywu zostały odcięte dwie klatki?

- Tak. Na kilku zdjęciach twarz mężczyzny jest dość wyraźna.

Kazałem zrobić odbitki samej twarzy.

- Słusznie. Roześlij po dzielnicach, może znają. I u nas, w dochodzeniowej. Gorzej, jeżeli gość był przyjezdny.

Rączewski westchnął. Tak, to by, oczywiście, opóźniło szansę schwytania zabójcy. Wyraził głośno tę myśl. a Szczęsny rzekł:

- Sądzisz, że to on zabił? Ale dlaczego?

- Właśnie te dwie odcięte klatki negatywu nasunęły mi przypuszczenie szantażu. Może to jest jakiś nadziany facet, dziewczyna pokazała mu kompromitujące zdjęcia, zażądała pieniędzy. Dwa razy zapłacił, potem doszedł do

wniosku, że to się może ciągnąć w nieskończoność i załatwił babkę.

- Jak ona się nazywała?

- Janina Stążek. Dwadzieścia cztery lata, niekarana, mieszkała z matką na Pradze. Matkę powiadomiliśmy. Ale nie wiem, czy wiadomość do niej dotarła, bo przed południem jeszcze nie zdążyła wytrzeźwieć. To taka lepsza melina ten dom. Matka w dzień handluje czym popadnie, a wieczorami pije i sprzedaje wódkę.

- Rozmawiałaś z sąsiadami?

- Trochę. Mówią, że dziewczyna trzymała się od matki z daleka.

Podobno dorabiała tu i ówdzie, ale nasza obycza-jówka nie ma jej w ewidencji. Owszem, widywali ją czasem w lokalach. Ładnie ubrana, zawsze sama albo w większym towarzystwie. Nie zaczepiała, nie awanturowała się, nie upijała, więc się nią nie zajmowali.

- Oczywiście. Musimy jak najprędzej dowiedzieć się, kim jest ten człowiek na zdjęciach. Czy na rolce filmu są jakieś odciski palców?

- Tak. Męskie. Nie figurują w Registraturze Daktylo-skopijnej.

- Czy pasują do tej twarzy?

Rączewski spojrział na Szczęsnego ze zdumieniem.

- Coś ty! Chyba żartujesz. Kapitan wzruszył ramionami.

- Chyba. Ale niezupełnie. Nie przejmuj się, to takie moje próby porównawcze. Jak dotychczas, nie potwierdzone przez naukę.

Siedzieli potem nad starannie zrobionym rysunkiem miejsca znalezienia zwłok; zestawiali zdjęcia parku, trawnika, krzaków, drogi wiodącej od skweru i piaszczystej ścieżki. Oględziny lekarskie (umiejscowienie plam opadowych) wskazywały, iż Janinę Stążek zabito w parku, a nie -jak sądził Rączewski - w innym miejscu. Matka zeznała, jeżeli można było wierzyć w jej na wpół trzeźwe słowa, że córka od paru dni nie zjawiała się w domu na noc, co zresztą zdarzało się nie po raz pierwszy. Od nałogowej pi-jaczki niełatwo było dowiedzieć się coś sensownego o ży-

ł:

ciu i znajomych Janiny. Plątała się w zeznaniach, zapewniała, że wódką już nie handluje, co było oczywistym łgarstwem.

Wieczorem na biurku kapitana odezwał się telefon. Jeden z pracowników wydziału przestępstw gospodarczych rozpoznał z całą pewnością twarz mężczyzny na zdjęciach. W cierpkich słowach poinformował kapitana, że rolę podstarzałego amanta odgrywał wicedyrektor fabryki N., Kazimierz Derbach.

- Niemożliwe! - zawołał Szczęsny.

- Dlaczego? - odparł pracownik. - Starsi panowie bywają frywolni, zwłaszcza podczas nieobecności żon. Sprawdź, czy Derbachowa latem gdzieś wyjeżdżała na dłużej.

- Mnie nie chodzi o miłosne pitigrilli - rzekł Szczęsny

niecierpliwie. - Ale on mi nie pasuje do zabójstwa.

Pracownik zastanawiał się chwilę.

- Rzeczywiście - odrzekł. - Jak znam Derbacha, a znam go od dłuższego czasu, chociaż nie prywatnie, to nigdy bym nie posądził go o zabójstwo. Chyba w afekcie, bo jest dość impulsywny.

Kapitan odłożył słuchawkę i poinformował Rączewskiego, kim jest człowiek na zdjęciach. Porucznik zaklął. Sprawa komplikowała się. Trzeba z dyrektorem porozmawiać. Gorzej, jeżeli trzeba go będzie posadzić za morderstwo. Postanowili pojechać z samego rana do fabryki, aby nie wywoływać na razie paniki w domu.

- Rano... a jeżeli on nam zwieje do tego czasu? - Szczęsny sięgnął po książkę telefoniczną. - Trzeba sprawdzić, czy jest.

Nakręcił domowy numer dyrektora. Natychmiast odezwał się męski głos: - Słucham, Derbach...

- Przepraszam, pomyłka - kapitan odłożył słuchawkę. - Jest, lepiej jednak weźmy go w obstawę. Kogo tam dziś mamy? - Spojrzał na

grafik służb. - Sierżant Karolczyk, do rana. Nie zmarznie, noc będzie ciepła.

Kwadrans po siódmej Derbach wyszedł z mieszkania, wsiadł do swego fiata i pojechał w stronę fabryki. Sierżant

Karolczyk z westchnieniem ulgi powędrował do domu, obserwację przejął wywiadowca w samochodzie.

Towarzyszył dyrektorowi aż do bramy, po czym zaparkował wóz w pobliżu i przez radiostację powiadomił kapitana Szczęsnego o sytuacji.

W pół godziny później obaj oficerowie weszli do sekretariatu.

Derbach miał poranną odprawę kierownictwa, był w tej chwili

„pełniącym obowiązki” naczelnego dyrektora i sekretarka

kategorycznie zaprotestowała przeciwko przerywaniu narady.

- A potem dyrektor wyjeżdża do Zjednoczenia - oświadczyła,

patrzając nieprzychylnie na Rączewskiego, a nieco życzliwiej na

Szczęsnego, ze względu na jego niecodzienną urodę.

- W porządku - rzekł kapitan, siadając na krześle w

sekretariacie. - Zaczekamy.

- Ale... - zaczęła, przerwał jej jednak natarczywy sygnał telefonu.

Wstała, zabrała z biurka plik papierów i spojrzała na

nieproszonych interesantów. - Skąd panowie są? - spytała

opryskliwie.

- Z Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej - odparł porucznik,

obserwując wrażenie, jakie wywołają te słowa. Sekretarka lekko

wzruszyła ramionami i weszła do gabinetu. Niemal natychmiast

zaczęli stamtąd wychodzić pracownicy fabryki, spiesząc się do

wydziałów, wróciła sekretarka, powiedziała chłodnym głosem, że



dyrektor prosi, ale na krótko.

Derbach wyszedł zza swego wielkiego biurka, przywitał obu oficerów i poprosił, aby usiedli. Twarz miał nieprzeniknioną, na pozór spokojną, Szczęsny dojrzał jednak leciutkie drżenie warg i rąk. „Boi się” - pomyślał i skupił uwagę na twarzy dyrektora

Tymczasem Rączewski rzekł:

- Postaramy się nie zająć panu dużo czasu, sprawa jest jednak pilna.

- Dotyczy fabryki? Kogoś z pracowników? - spytał Derbach podsuwając papierosy.

- Nno... tak. Chociaż miał pan pewnie co innego na myśli.

Dotyczy pana, dyrektorze.

- Mnie? - zdziwił się, przytykając płomień zapalniczki do papierosa. Palce wciąż lekko drżały, mógł to jednak być objaw zmęczenia.

- Czy zna pan Janinę Stażek?

- Janinę Stażek? Chyba nie - odparł, teraz szczerze zdumiony. -

Ona tu pracuje? Mamy sześć tysięcy ludzi i, pan daruje, nie jestem w stanie wszystkich znać.

- Nie pracuje tutaj. To była znajomość czysto prywatna. Tak przynajmniej można sądzić po - Rączewski zastanawiał się parę sekund - powiedzmy, po niektórych pamiątkach tej znajomości.

- Nie rozumiem. - w głosie Derbacha było jakby rozbawienie. -

Sądzi pan, że powinienem któregoś z moich znajomych płacić alimenty? Przykro mi, ale mam pod tym względem czyste sumienie.

- A pod innym? - odezwał się nagle Szczęsny. Derbach zeszywniał.

- To chyba nie leży w kompetencji milicji, lecz moich władz nadrzędnych, zjednoczenia, albo resortu - powiedział ostrym tonem. - Jak dotychczas, nie mają mi nic do zarzucenia.

- Obawiam się, dyrektorze, że tym razem sprawa leży jak najbardziej w kompetencji milicji. - Kapitan uniósł się z krzesła i rozrzucił na biurku kilka zdjęć.

- Poznaje pan?

Twarz dyrektora zrobiła się biała jak kreda. Zerwał się z fotela, potem opadł na niego z powrotem, wydawało się, że nie może

nabrać tchu. Oficerowie przypatrywali mu się uważnie.

- Skąd... Skąd to macie? - szepnął, wyciągając z kieszeni chustkę.

Wytrzeł twarz i czoło, nerwowym ruchem sięgnął po papierosa,

choć niewypalony leżał na popielniczce.

- Poznał pan, prawda?

- Tak. Panowie, na miłość boską, w której gablocie to było?

- Gablocie? - powtórzył kapitan. Wymienili z Rączewskim

błyskawiczne spojrzenia.

- No tak! Na którym wydziale? - dopytywał Derbach gorączkowo.

- A może przed stołówką?... No, czemu pan nic nie mówi! -

krzyknął.

- Chwileczkę - Szczęsny nagle zrozumiał, co tamten ma na myśli.

- Może pan się nie obawiać. Nie znaleźliśmy tego w fabryce.

Derbach odetchnął z ulgą, zaraz jednak oczy znowu rozblęły mu niepokojem.

- Więc u mnie w domu. Może w liście - zniżył głos, spojrzał na drzwi. - Moja żona to widziała?

- Nie wiem. Ale nie znaleźliśmy tych zdjęć w pańskim mieszkaniu.

- Dlaczego pan twierdzi, że nie zna Janiny Stążek? - wtrącił

Rączewski. - Przecież to z nią jest pan na zdjęciach.

- Stążek - powtórzył dyrektor, uśmiechnął się ironicznie. - Mnie ona przedstawiła się jako Elizabeth Wight. Polka, mieszkająca stale w Anglii. Mniejsza z tym. Więc gdzie były te fotografie?

- Kiedy pan ostatni raz widział Janinę Stążek?

- Właśnie wtedy - mruknął, pokazując na zdjęcia ruchem głowy. -

I jeszcze następnego dnia, jak ją odprowadzałem do taksówki. To było w sierpniu.

- I więcej pan jej nie widział?

- Nie.

Przez chwilę w gabinecie panowało milczenie. Szczęsny patrzył

na Derbacha, zastanawiając się, czy ten człowiek mówi prawdę.

Wydawało mu się jednak, iż po pierwszym szoku na widok

fotografii, dyrektor uspokoił się, jakby był rad, że najgorsze ma za sobą. „Sprytny facet” - pomyślał. - „Albo rzeczywiście już się z nią nie spotykał”.

- Dlaczego nie chcecie powiedzieć, gdzie były te zdjęcia? - spytał

Derbach, patrząc to na jednego, to na drugiego.

- Zaraz powiemy. Gdzie pan był w czwartek wieczorem,

dziesiątego października? To znaczy, przedwczoraj.

Nagle twarz dyrektora znów poszarzała. Przygryzł wargi, palcami

ugniatał papierosa, łamiąc go na kawałki.

- Nie pamiętam dokładnie, ale chyba w domu - odparł.

- Widziano pana w okolicy Placu Komuny Paryskiej -

zaryzykował Rączewski. Dostrzegł, że Derbach drgnął lekko.

- Owszem, teraz sobie przypominam. Byłem na Placu pomiędzy

godziną dwudziestą pierwszą a, zdaje się, dwudziestą pierwszą

czterdzieści. Stałem przed kinem „Wisła”. Czekałem na kogoś.

Ten ktoś nie przyszedł. Odjechałem z Placu taksówką. Do domu.

- I o której był pan w domu?

- Sądzę, że po dwudziestu minutach, dłużej się nie jedzie z

Żoliborza. Ale o co panu chodzi? To są moje osobiste sprawy.

- Powiedzmy.

- Czy mam to traktować, jako normalne przesłuchanie?

- Nie. Przecież nie protokolujemy pańskich odpowiedzi.

- W takim razie - Derbach wstał - panowie pozwolą, że ich

pożegnám. Już powinienem być w zjednoczeniu.

- Janina Stażek nie żyje - powiedział Szczęsny, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. - Została zamordowana. A te zdjęcia były w jej torebce.

Dyrektor znów osunął się na fotel, zmartwiały i wyraźnie przerażony.

- Liz nie żyje? - spytał szeptem. - Jak to się stało?

- Tego właśnie chcielibyśmy się od pana dowiedzieć.

- Pan sądzi... - spojrzał na Rączewskiego, bardziej zdumiony niż urażony - chyba nie myśli pan, że to ja ją zabiłem?!

- Z kim pan się umówił na Placu Komuny? Ale Derbach jakby nie dosłyszał pytania.

- To dlatego do mnie dzwoniła - mruknął. - Bała się.

- Ona do pana dzwoniła? Kiedy?

- Tego wieczoru, w czwartek. Mówiła, że się bardzo czegoś czy kogoś boi. Potem przerwała połączenie. Nie znałem jej telefonu, więc nie mogłem zadzwonić.

- O której telefonowała do pana?

- Około dwudziestej drugiej. Może parę minut później. Szczęsny zmarszczył brwi.

- Stażek została zabita pomiędzy dziewiątą a jedenastą wieczorem.

We czwartek. Naprawdę pan twierdzi, że dzwoniła właśnie w tym czasie?

Derbach patrzył na mówiącego z osłupiałą twarzą.

- To niemożliwe - powiedział, pocierając dłonią czoło. - To niemożliwe, żeby nie żyła przed dwudziestą drugą. Poznałem jej głos. Odezwała się do mnie po imieniu. Musieli ją zabić później... dużo później.

- Mówiła głośno, czy szeptem?

- Szeptem.

- Tak dobrze i długo pan ją znał, że natychmiast rozpoznał pan jej głos w telefonie? W dodatku szept?...

- Nie czarujmy się, panie dyrektorze, z kim pan miał się spotkać na Placu Komuny?

Derbach milczał. Do gabinetu zajrzała sekretarka, ale wyprawił ją ruchem ręki. Nie podniósł słuchawki telefonu, który alarmował nagłąco. Wreszcie ocknął się i rzekł, na wpół do siebie:

- To potworne, żeby wszystko się na mnie skupiło. Jakiś nieprawdopodobny pech! Po prostu nie do uwierzenia.

- Dlaczego: wszystko? - spytał Szczęsny życzliwym tonem.

- Bo wszystko! - wybuchnął tamten. - Wpierw szantaż, potem podejrzenie o zabójstwo! Trochę za wiele.

- Ona pana szantażowała, tak?

- Nie. Nie ona. Jakiś facet, w jej imieniu. Antkowiak. Najpierw przyszedł tu, do fabryki. Powiedział, że jest pełnomocnikiem państwa Wight z Londynu.

Opowiedział po kolei dzieje szantażu, dodając, że nie zgłosił się do milicji, bo obawiał się sprawy sądowej i kompromitacji.

Zwłaszcza pragnął ukryć całą sprawę przed żoną. Oficerowie słuchali jego wynurzeń z mieszanymi uczuciami. W końcu kapitan rzekł:

- Proszę nam podać rysopis i adres tego Antkowiaka. Imienia pan nie zna?

- Chyba Jan. Adresu nie znam. Błady, w czarnych okularach...

Nie, okulary w czarnej oprawie. Ciemne,



gładkie włosy. To wszystko. Moja sekretarka raz go widziała, może będzie więcej pamiętać.

- A później, jak pan się z nim spotykał, czy ktoś was widział razem? Mam na myśli kogoś z pańskich znajomych.

Derbach potrząsnął przecząco głową.

- Może pan go kiedyś widział w jakimś towarzystwie? W lokalu?

- Nie. Poproszę sekretarkę, może coś więcej powie o nim. -

Nacisnął dzwonek, weszła ruda pani Irena, spojrzała zdziwiona na siedzących, potem na dyrektora.

- Podać kawę? - spytała.

- Nie, dziękujemy - odparł Szczęsny. - Proszę pani, swego czasu przychodził tu do dyrektora taki pan Antkowiak. Przypomina pani go sobie?

- Tak, oczywiście. Później pan dyrektor nie chciał z nim więcej rozmawiać, chociaż on dzwonił kilka razy.

- Jak ten pan wyglądał?

- A taki zwyczajny. Włosy chyba ciemne... nieciekawý typ.

- Nosił okulary?

- Nie. Bez okularów.

- Jak to, pani Ireno? - rzucił się Derbach, ale Szczęsny powstrzymał go ruchem ręki.

Sekretarka zmieszana się, zerknęła niepewnie na kapitana.

- Miał, zdaje się, mały wąs. Taki krótki.

- Ależ nie miał żadnych wąsów! - krzyknął dyrektor. - Miał duże okulary w czarnej oprawie.

- Nie zauważyłam - szepnęła, nerwowo zacierając ręce.

- Może miał. Albo może zdjął w sekretariacie.

- I więcej go pani już nie widziała?

- Nie.

- Dobrze, dziękujemy pani.

Po wyjściu sekretarki Szczęsny rzekł stanowczym tonem:

- Przykro mi, panie dyrektorze, ale muszę pana poprosić, aby pan nie wyjeżdżał z Warszawy. Nigdzie. Postaramy się odnaleźć tego tajemniczego Antkowiaka, chociaż...

- urwał, machnął ręką trochę lekceważąco.

Derbach stał blady, z zaciśniętymi ustami, rękoma wspierał się o biurko. Milczał. W drzwiach kapitan odwrócił się jeszcze i rzucił:

- Lepiej byłoby powiedzieć nam wszystko szczerze. Bo potem może być już za późno.

Kiedy opuścili fabrykę, Rączewski rzekł z wahaniem:

- Może jednak go zatrzymać?

- Nie - odparł Szczęsny. - Jest pod obserwacją, nie zwieje. A

mówiąc szczerze, nie wydaje mi się, aby próbował. Co myślisz o tym facecie?

- Antkowiaku? Pamiętam parę spraw o szantaż, ale nie spotkałem się w nich z takim nazwiskiem. Cóż, będziemy szukali. Dyrektor nie umówił się z sekretarką jak ma zeznawać i każde mówiło co innego.

Kiedy dojeżdżali do komendy, kapitan powiedział w zamyśleniu:

- Wydaje mi się, że w tym, co powiedziała sekretarka był pewien ważny szczegół. Oczywiście, jeżeli oboje nie kłamią.

Odciski linii papilarnych na rolce filmowej, znalezionej w torebce Janiny Stążek, nie należały do Derbacha. Prokurator zastanawiał

się, miał liczne opory i na razie nie wydał nakazu aresztowania dyrektora. Plotka poszła jednak po fabryce.

Nikt nie wiedział, o co poszło, ale wszyscy szeroko i żarliwie

komentowali fakt długiej rozmowy oficerów milicji z

wicedyrektorem Derbachem, kojarzyli to z jego poprzednim

zaostrzaniem wydawania przepustek i wyciągnęli wniosek, że

„Kaziu” bał się jakiegoś Antkowiaka, który wie

o nim coś brzydkiego.

Sekretarka milczała jak grób, poza fabryką pozwoliła sobie jednak

na różne wersje całego zdarzenia, a że rozmawiała z paroma

przyjaciółkami, na trzeci dzień załoga wiedziała już z detalami to wszystko, co i ona.

- No, cóż - powiedział pułkownik Brezga, kiedy Szczęsny

i Rączewski przedstawili mu szczegóły sprawy. - Mamy wobec

tego dwie możliwości. Albo dziewczynę zabił Derbach, bo

szantażowała go zdjęciami, dwa wykupił, na resztę za-

brakło mu cierpliwości i pieniędzy. Wziął ją do samochodu,

wysiedli gdzieś niedaleko Placu Komuny, weszli do parku.

Uderzył ją w głowę, zawłókł w krzaki. Możliwe też, że zabił w

wozie i podrzucił ciało te kilkanaście metrów.

- To nietrudne dla Derbacha - wtrącił Rączewski. - Jest wysoki,

silny.

- Albo - rozważał dalej pułkownik - Janinę Stążek załatwił jej

wspólnik, ten Antkowiak.

- Dlaczego? - mruknął Szczęsny, siedząc na krawędzi biurka. - Nie

widzę przyczyny. Dziewczyna przynosiła mu niezły dochód.

- Nie podoba mi się sformułowanie - skarcił go Brezga. - Powód?

Trzeba się zastanowić. Może miała go dość, bał się, że wygada.

Może próbowała na własną rękę, nie chciał konkurencji. Jeżeli,

oczywiście, ten Jan Antkowiak istnieje.

- Mamy spis mężczyzn o tym nazwisku. Wywiadowcy z dzielnic zajmują się nimi od wczoraj, ale jak dotychczas nie natrafili na kogoś o rysopisie podobnym do tego, który podał Derbach.

- Nazwisko może być fałszywe, weźcie to pod uwagę.

- Wtedy zostanie nam bardzo niewiele - zauważył Szczęsny. -

Mężczyzna o ciemnych, gładkich włosach, w okularach, blady.

Setki takich chodzi po Warszawie. Zresztą, te okulary są problematyczne, sekretarka twierdzi, że ich nie miał. Natomiast miał wąsy, czemu zaprzecza dyrektor.

- Rozmawialiście z Derbachową?

- Tak - Rączewski skrzywił się. - Wyniosła się od niego, z dzieckiem. Dramat rodzinny na dwanaście fajerek.

- Mój drogi, spróbuj postawić siebie w jej sytuacji. Nie do pozazdroszczenia. Mało, że mąż sprowadził sobie dziewczynę z półświatka, ale jeszcze jest podejrzany o morderstwo.

Więści z fabryki dotarły szybko do Zjednoczenia. Derbach wysłuchiwał półsłówek blady, z zaciśniętymi wargami, potem złożył podanie z zwolnienie ze stanowiska i z fabryki. Dyrektor zjednoczenia klął i rozpaczał na przemian.

Derbach był najlepszym kandydatem na naczelnego dyrektora.

Nie mógł jednak zrobić nic więcej, jak przyjąć dymisję, a prywatnie zapewnić, że jeżeli tylko cała rzecz okaże się obrzydliwą plotką - oczywiście, nie w N., ale jest przecież wiele innych dużych fabryk. Potem, kiedy już był sam w gabinecie, doszedł do wniosku, że obiecywał zbyt pochopnie i postanowił się z tego wycofać.

Po tygodniu Szczęsny i Rączewski mieli za sobą rozmowy względnie obserwacje wszystkich możliwych Antkowiaków. Do rysopisu pasował tylko jeden, ale w żadnym wypadku nie nadawał się do roli szantażysty, był bowiem sędzią, człowiekiem o nieposzlakowanej opinii i wielkich zaletach ducha.

- Nie rozumiem, dlaczego Derbach podtrzymuje wersję, że dziewczyna dzwoniła do niego wówczas wieczorem - powiedział Szczęsny, mieszając marago z cukrem. Siedzieli w komendzie, parzyli trzecią z kolei kawę i próbowali ułożyć jakiś sensowny plan działania, co im się nie udawało. - Jak na alibi to jest pomysł idiotyczny. Nikt nie broni się za pomocą rozmowy telefonicznej, której nie sposób odtworzyć, ani której nikt inny nie słyszał...

Czekaj, a pytałeś Derbachową?

- Pytałem - odparł Rączewski. - Mówi, że przyszła do domu dopiero w nocy. Była u znajomych.

- Derbach twierdzi, że wrócił wtedy do domu około dwudziestej

drugiej i już nie wychodził. Biorąc pod uwagę, że nasz eskulap mógł się trochę pomylić, powiedzmy o pół godziny, Derbach miał czas na załatwienie dziewczyny w parku i powrót do domu właśnie o tej porze. W to, że czekał pod kinem na Antkowiaka, który nie przyszedł, jakoś trudno mi uwierzyć.

- Mnie też. Więc co robimy? Prokurator chce mieć jutro nasze wnioski. Ja mam tylko jeden: zamknąć Derbacha.

- Zdaje się, że nic innego nie pozostaje.

Następnego dnia wicedyrektor Kazimierz Derbach został decyzją prokuratora osadzony w areszcie śledczym pod zarzutem zabójstwa Janiny Stążek. Milicja zbadała bardzo dokładnie jego samochód, nie znalazła tam jednak

żadnych śladów, które mogłyby wskazywać na morderstwo

dokonane wewnątrz wozu. Derbach twierdził, że na Plac Komuny

pojechał autobusem pośpiesznym „A” i fiat stał przez ten czas przed domem. Szukano więc świadków, którzy pamiętaliby ten

fakt, ale na tej ulicy parkowało zwykle sporo samochodów. Prócz

tego pora - późny październikowy wieczór - nie zachęcała do spacerów i leniwej obserwacji, co się dokoła dzieje. Mimo to cierpliwie szukano dalej.

Któregoś dnia Szczęsny postanowił jeszcze raz porozmawiać z

Derbachem. Wprawdzie dyrektor, odkąd znalazł się w areszcie,

zamknął się w sobie niczym ślimak w skorupie i odpowiadał tylko

„tak” lub „nie”, albo milczał, kapitan postanowił jednak przedrzeć się przez tę skorupę niechęci i milczenia.

O ile na początku wina Derbacha wydawała mu się bezsporna, o tyle teraz zaczynał mieć wątpliwości. Człowiek nie pasował mu do czynu.

- Panie dyrektorze - rzekł, podsuwając mu papierosa -bardzo bym chciał, aby pan nabrał do mnie choć trochę zaufania. Nie ma sensu milczeć ani kłamać. Pan tylko pogarsza swoją sytuację.

- Powiedziałem już wszystko - odparł Derbach znużonym głosem - a pan i tak mi nie uwierzył. Nie mam nic do dodania. Gdybym przypuszczał, że tak się sprawy ułożą, nosiłbym przy sobie ukryty magnetofon i nagrywał każdą rozmowę z Antkowiakiem.

Wzruszył ramionami, zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Zatrzymajmy się więc przy jego osobie - rzekł kapitan. - Czy nie może pan sobie przypomnieć choćby jednego szczegółu poza

tymi, które pan już podał? Niech pan skupi uwagę. Niech pan

myśli, z całym wysiłkiem natęży pamięć - mówił sugestywnie, a

jego czarne wąskie oczy płonęły podnieceniem. Pochylił się nad

biurkiem, wyglądało, że chce przelać cały swój zapal tamtemu,

zmusić go do odświeżania pamięci. - Niech pan pracuje razem ze

mną, panie Kazimierzu.



Derbach uniósł głowę, w jego oczach błysnęła jakaś iskierka.

Nerwowo zatarł ręce.

- Wtedy, w kawiarni „Mazowsze”, jak siedzieliście razem przy stoliku - mówił dalej Szczęsny - ma pan przed oczami tę scenę?

-Tak.

- Niech, pan powie, jakie miał ubranie. Płaszcz, rękawiczki.

- Był w ortalionie - powiedział Derbach przymykając powieki. -

Chyba granatowym. Rękawiczki... wsunął do kieszeni tego płaszcza. Tak, to pamiętam.

- Ręce. Co zrobił z rękoma? Trzymał na stoliku, czy puścił na kolana? Miał coś w ręku?

- Ręce... Nie, nic nie miał. Na stoliku... palce miał jakieś jakby...

Plamy. Ciemne plamy, na skórze i na paznokciach.

- Od papierosów?

- Nie. Chyba nie. Inne. Ciemne i skóra zniszczona.

- Chemik - mruknął z kąta Rączewski.

- Albo fotograf - odparł Szczęsny. - Te zdjęcia, wiesz? Zwrócił się do Derbacha.

- Czy Janina Stążek też miała takie palce?

- Nie. Ani śladu plam.

- Na zwłokach też nie - przypomniał porucznik.

- Różnica czasu - odrzekł kapitan. - Wtedy, latem mogła mieć.

Zdjęcia były wtedy robione, nie w październiku.

Postanowili zaryzykować portret pamięciowy, choć Derbach

niewiele pamiętał z wyglądu szantażującego go człowieka.

Rysownik Laboratorium Kryminalistycznego, po kilkunastu próbach rozłożył ręce. Nic z tego nie wychodziło.

- Spróbujcie identyfikator kompozycyjny - poradził.

Zawieziono Derbacha do Zakładu Kryminalistyki Komendy

Główniej MO. Przy pomocy projektora rzucano na ekran

najróżniejsze elementy twarzy, narysowane na przezroczystej folii, łączono je ze sobą to tak, to inaczej, dobierano żmudnie setki

nosów, ust, oczu. Derbach pracował w pocie czoła, mówił: - Tak, właśnie taki - albo: Niezupełnie, inny kształt. Mniejsze.

Wreszcie po dwóch godzinach na ekranie zarysowała się sylwetka

i twarz człowieka w okularach w dużej, czarnej oprawie. Wtedy

wezвано sekretarkę z fabryki N. Na widok swego dawnego

dyrektora wzruszyła się niespodziewanie, łzy stanęły jej w oczach.

Derbach wpierw skłonił się jej z daleka, ale potem podszedł i

mocno, serdecznie uściskał wyciągnięte ku niemu ręce. Oficerowie

przyglądali się tej scenie z lekkim uśmiechem. Szczęsny poczuł

jednak w tej chwili trochę sympatii dla aresztanta.

Potem Derbach wyszedł, a sekretarkę poproszono do ekranu.

- To ten Antkowiak! - zawołała, wskazując palcem na rysującą się dość wyraźnie sylwetkę.

- Przecież jest bez wąsów i w okularach - zauważył kapitan.

Odwróciła się ku niemu, twarz jej miała wyraz napięcia.

- Wąsów, to on chyba nie miał - powiedziała - ale z tymi

okularami, to ja już wiem, jak było. W sekretariacie nie miał, a jak wychodził z gabinetu dyrektora, to

miał na oczach. Dlatego mi się

pomyliło, jak pan mnie pytał za pierwszym razem.

- Cóż, zdarza się - rzekł Rączewski.

Wrócili do komendy. Zdjęcia portretu pamięciowego rozesłano do komend dzielnicowych i do innych jednostek milicyjnych w kraju.

Rączewski pokazał je też matce Janiny Stązek. Handlarka, wyjątkowo trzeźwa i posępna, patrzyła długo na twarz z portretu, a potem potrząsnęła przecząco głową.

- Nie znam - odparła krótko.

- Czy nie widywała go pani z córką?

- Z Janką? - Zaprzeczyła znowu ruchem głowy. - Ona do mnie ze swoimi kawalerami nie przychodziła.

Rozmowy z sąsiadkami, ekspedientkami z pobliskich sklepów, kioskarkami i całym otoczeniem również nie dały rezultatu.

Niektórzy wprawdzie rzucali jakieś nazwisko, po sprawdzeniu okazywało się jednak, że dany człowiek wygląda zupełnie inaczej, albo też ma przekonujące alibi.

- Wiesz co? - rzekł pewnego dnia kapitan Szczęsny do swego kolegi. - Nie ruszyliśmy dotąd sklepów z artykułami fotograficznymi.
  - Ruszyłem - mruknął Rączewski. - Byłem chyba w sześciu czy siedmiu, mam tam zapisane. Nikt go nie rozpoznał. Zaczynam mieć wątpliwości, czy portret jest podobny.
  - Sekretarka poznała od razu.
  - Przypuszczam, że była na to nastawiona. Mogła się domyślić, że znów będzie chodziło o Antkowiaka i tym się zasugerowała.
  - Albo tych dwoje jest w zмовie. Tak długo będą nas zapewniać o istnieniu tego faceta, że w końcu uwierzemy.
  - Słuchaj, kiedy Antkowiak wszedł wówczas do fabryki N., to na jaki dowód wydano mu przepustkę?
  - Sprawdziłem. Miał jakąś legitymację służbową wydaną na to nazwisko. Może sfalszowaną. Nie wymagaj zbyt wiele od pracownicy w biurze przepustek, to nie fabryka zbrojeniowa.
- W kilka dni później do pokoju Szczęsnego zajrzał jeden z oficerów z sekcji kradzieży i włamań. Usiadł przy biurku i powiedział:
- Może cię to zainteresuje. Tamtej nocy było włamanie do apteki na Pradze. Sprawca zabrał tylko środki odurzające: eter, morfinę, pantopon, coś tam jeszcze. Ogołocił aptekę z tych lekarstw doszczętnie. Byłem tam w ciągu dnia, rozmawiałem z ludźmi.

Znalazł się kierowca taksówki, który przejeżdżał akurat obok apteki i dostrzegł człowieka, wychodzącego z niej z dużą walizką. Kierowca opisał mi jego wygląd. Twarz przypomina trochę poszukiwanego przez ciebie.

- Pokazałeś mu zdjęcie portretu? - Szczęsny zerwał się z miejsca. -

Daj mi jego adres i nazwisko.

- Zdjęcia nie pokazałem, nie miałem przy sobie. Zapisz sobie adres.

Kierowca przyglądał się portretowi w zamyśleniu. W końcu orzekł: „Tak jakby ten, ale włamywacz miał nieduże, krótko przystrzyżone wąsiki”. Znów problem - Antkowiak wąsoty czy nie - stał się nie do rozwiązania. Oczywiście, można zmieniać wygląd, zapuszczać wąsy, brodę, a potem golić, wkładać i zdejmować okulary, farbować włosy.

I kiedy już Szczęsny myślał, że sytuacja Derbacha się pogarsza w miarę jak nieznany szantażysta oddala się -nagle coś posunęło sprawę naprzód. Oto na brzegu jednej z szuflad w okradzionej aptece znaleziono drobny odcisk linii papilarnych wskazującego palca prawej ręki. Więcej śladów nie było i można było sądzić, że włamywacz przez cały czas miał na dłoniach rękawiczki, widocznie jednak w pewnym momencie jedną z nich zdjął albo zsunęła mu się z ręki.

Dowiedziawszy się o tym, kapitan natychmiast zażądał porównania śladu z liniami, znalezionymi na negatywie ukrytym

w torebce Janiny Stążek. Otrzymał opinię eksperta

daktyloskopii, Szczęsny zakrzyknął z ulgą:

- Nareszcie!

- Te same - z zadowoleniem potwierdził Rączewski.

- Chyba jednak Antkowiak gdzieś egzystuje. A w dodatku urządza włamania. Jak myślisz, na co mu tyle narkotyków?

- Sprzedaż. Kontakty z towarzystwem narkomanów. Jakieś machlojki z obcokrajowcami, oni czasem chętnie to kupują...

Najpierw musimy go złapać, potem się dowiemy.

Do śledztwa w sprawie zabójstwa Janiny Stążek doszły teraz nowe elementy. Poszukiwano Antkowiaka wśród znanych milicji narkomanów, których zresztą w kraju nie ma wielu, za to są głęboko zakonspirowani. Obserwowano bazary, meliny przestępców, kawiarnie znane z tego, że spotykają się w nich specyficzne grupy

- homoseksualistów, waluciarzy, przemytników. Dyskretną sieć roztoczono nad aptekami, zwłaszcza nad punktami skupu lekarstw zagranicznych, gdyż niektóre skradzione środki odurzające pochodziły z importu. Wywiadowcy obojga płci przesiadywali w hotelach, restauracjach, przy okazji wyłapano sporo drobniejszych płotek przestępczych, nie natrafiono jednak na człowieka, który szantażował Derbacha.

A przecież człowiek ten istniał. Zostawił dwa ślady swoich linii papilarnych. Był, a więc musiał gdzieś mieszkać, z czegoś żyć, chyba wychodził czasem na ulicę, do sklepów, miał choć paru znajomych, miał sąsiadów.

- Ciekawe, dlaczego rzucił podejrzenie na Derbacha - powiedział Rączewski. - I to tak dyskretnie, ukrywając rolkę pod podszewką torebki.

- Musiał ją ukryć - odparł Szczęsny. - Gdyby zabił Derbach, nie zostawiłby filmu w torbie na samym wierzchu, bo sam na siebie rzuciłby podejrzenie. Antkowiak zrobił bardzo chytrze, on dobrze wiedział, że będziemy dokładnie przeglądać rzeczy ofiary. Nie wiem dlaczego ją zabił, przypuszczam natomiast, że Derbach stał się dla niego bezużyteczny, bo odmówił dalszego płacenia. Mając w ręku taki atut, jak wspólne zdjęcia Stążek i dyrektora, cóż prostszego, jak zwalić na niego winę, a samemu zaszyć się na pewien czas w ukryciu.

- On musi mieć gdzieś mieszkanie z ciemnią fotograficzną i wszystkimi urządzeniami. Jakiś czas przypuszczałem, że to może zawodowy fotograf, szukałem wśród nich, pytałem - być może, że nawet natrafiłem na tego człowieka, bo przecież tak na dobrą sprawę to obaj nie wiemy, jak on naprawdę wygląda. Wąsy, okulary, to wszystko można zmieniać, nie znamy rysów, wzrostu, jakichś cech charakterystycznych, prócz tych ciemnych plam na

palcach. Wielu fotografów je ma. Ciągłe błędzimy po omacku.

- Bo trudno znaleźć człowieka, który inaczej się nazywa, inaczej

wygląda i pewnie ma inny zawód niż myślimy - powiedział

Szczęśny zniechęcony. - Poznałby go chyba tylko Derbach.

Przejrzeli stare akta wszystkich spraw, które dotyczyły włamań do

aptek lub drogerii, kradzieży lekarstw, podrabiania recept etc.

Chcieli znaleźć po raz trzeci tajemnicze ślady linii papilarnych, ale każdy ze schwytanych sprawców miał inne. Robili to zresztą tak

na wszelki wypadek, bo przecież sprawdzali już w Centralnej

Registraturze Daktyloskopijnej. Daremnie.



Szczęśny sądził jednak, że być może natrafią przy tej okazji na podobną sylwetkę włamywacza, pasera, czy współnika i złapią trop.

- Posłuchaj - rzekł w pewnej chwili Rączewski, ślęcząc nad zakurzonymi papierami. - W tej sprawie był współnik, którego nie odnaleziono. Złodziej podał tylko jego rysopis, bo nazwiska, jak twierdzi, nie znał: szczupły, ciemne włosy, okulary w czarnej oprawie. Nosił pseudo „Szwagier”.

- Pokaż! - kapitan pochylił się nad aktami.

Sprawa dotyczyła kradzieży w dużym sklepie „Jubilera”. Młody chłopak nazwiskiem Waldemar Nierok włamał się nocą od podwórza do sklepu, zgrabnie wycinając w cienkiej desce drzwi otwór wraz z zamkiem. Zabrał z gablot i półek co tylko się dało, łącznej wartości ponad osiemdziesiąt tysięcy złotych. Złapano go na bazarze, w trakcie sprzedawania srebrnej tacy.

Waldemar Nierok wpierw odmówił wszelkich zeznań, ale po spędzeniu doby w areszcie „pękl” i zaczął mówić. Niestety, nie było to wiele. Chłopak dostał „cynk na robotę” od nieznanego mu pana, którego nigdy przedtem nie widział. Pan ten zaopatrzył go w narzędzia złodziejskie oraz udzielił doraźnego wsparcia finansowego, ponieważ Nierok cierpiał na permanentny brak gotówki. Po włamaniu, wczesnym świtem tajemniczy pan odwiedził Nieroka, zakopanego po uszy w betach, zabrał utensylia włamywacza oraz większość zrabowanych przedmiotów. Zostawił

natomiast sześć „brudasów” i srebrną tacę.

Prokurator nie dawał wiary tym wyjaśnieniom. Domagał się

więcej szczegółów, dotyczących owego pana. Chłopak, pocąc się

z emocji, wygrzebał jeszcze z pamięci pseudonim swego

dobroczyńcy, którym ten się przedstawił: „Szwagier”. Twierdził, że to już absolutnie wszystko i nigdy go więcej nie widział. Na

rozprawie sądowej również nie wzięto pod uwagę udziału

wspólnika i Nierok, dźwigając na swych barkach cały ciężar

włamania, powędrował do więzienia.

- Jeżeli darowano mu jedną trzecią kary, to jest już na wolności -

zauważył Rączewski. - Albo też wyszedł przed dwoma

miesiącami. Trzeba z nim pogadać.

## ROZDZIAŁ IV

Ale następnego dnia co innego zaprzętnęło uwagę obu oficerów.

Oto w rannej poczcie nadszedł do Komendy Stołecznej list. Był anonimowy, pisany na maszynie, a zawierał tylko kilka zdań.

„Jeżeli brak wam dowodów na to, że dziewczynę zabił Derbach, to zajrzyjcie pod siedzenie jego fiata”.

- Kto badał samochód? - spytał Szczęsny, marszcząc brwi z gniewem. Nie znosił anonimów, czuł jednak, że tego nie wolno zlekceważyć.

- Ja - odparł Rączewski zdziwiony, - A bo co?

- Zdejmowałeś siedzenia wozu?

- Chyba tak, nie pamiętam. O co chodzi?

- Masz, przeczytaj - kapitan rzucił mu list na biurko. Porucznik zaklął pod nosem.

- Oba siedzenia na pewno wyjmowałem - zawahał się. Wstał, sięgnął po płaszcz. - Zobaczę. Fiat stoi w garażu Derbacha.

- Pójdę z tobą - rzekł Szczęsny. Czuł się winny, prowadził śledztwo i jego obowiązkiem było prowadzić robotę wszystkich pracowników wydziału, zaangażowanych do tej sprawy.

Zdjęli najpierw tylne siedzenie, obejrzelik dokładnie, centymetr po centymetrze. Nic nie znaleźli ani na tapicer-ce, ani wewnątrz

samochodu. Potem wyjęli przednie siedzenie. Między sprężynami, zwinięta w kłębek, tkwiła jakaś szmatka. Szczęsny wyciągnął ją

ostrożnie, rozłożył na gazecie.

- Chustka - mruknął. - Męska. Ze śladami krwi.

- Chyba tak.

Popatrzyli na siebie i porucznik rzekł z zażenowaniem:

- Przepraszam cię, stary. Zawaliłem robotę.

- Poczekaj - Szczęsny machnął ręką niecierpliwie. - Stało się, trudno. Żebyśmy jednak nie popełnili nowego błędu.

- Co masz na myśli?

Kapitan rozglądał się po garażu z uwagą. Podeszedł do kłódki, wiszącej na drzwiach, obejrzał ją ze wszystkich stron, sprawdził skobel, potem podeszedł do okienka. Było lekko uchylone.

- Myślisz, że... - zaczął Rączewski niepewnie i urwał. Zrozumiał, że Szczęsny podejrzewa podrzucenie chustki do samochodu.

Zabrał się więc razem z nim do roboty. Wreszcie kapitan, zakurzony i usmarowany po łokcie, powiedział z zadowoleniem:

- Jasne jak słońce. Tędy wlaź - pokazał okienko - ześliznął się po ścianie, tu, gdzie brud lekko starty.

- Wyszli przed garaż, obeszl go z boku. - A tutaj zeskoczył. Patrz, ziemia wgnieciona, wyraźne

ślady obuwia. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby to zatrzeć czy

zasypać gałązkami. Zadzwonił, Tadek, po nysę. Niech wezmą gips i co tam trzeba.

Zebrali potem wszystkie ślady, wrócili do Komendy. List-anonim

został poddany starannym badaniom wszystkimi możliwymi

środkami, łącznie z podczerwienią. Ekspert wykrył mikroskopijne

ślady jakiegoś proszku chemicznego, drobne jednak i trudne do

zidentyfikowania. Nadawca pisał list w rękawiczkach z cienkiego

materiału, do naklejenia znaczka użył wody zamiast śliny.

Maszyna była typu Erika, względnie nowa albo mało używana.

Znaleziono charakterystyczne „w”, wysuwające się odrobinę wyżej niż inne litery oraz długopisem dorobiony ogonek pod „e” w słowie „dziewczyne”. Mogło to wskazywać, że w maszynie brak jest liter: „ę” i „ą”.

Plamy krwi na chustce pochodziły sprzed kilku tygodni, nie dały się więc rozpuścić w wodzie, lecz w roztworze ługu potasowego. Cechy grupowe uległy częściowo zniszczeniu wskutek wyschnięcia: zachowały się tylko w nieznacznej ilości aglutynogeny krwinek. Po długim i żmudnym badaniu eksperci odmówili zdecydowanej odpowiedzi do jakiej grupy krew ta należała. Prawdopodobnie - powiedzieli - jest to grupa A.

Janina Stążek miała tę samą grupę, ze względu jednak na niepewny wynik ekspertyzy trudno było orzec, iż krew na chustce była krwią zamordowanej.

- Sądząc po śladach obuwia - rzekł Szczęsny - w garażu był osobnik średniego wzrostu, raczej szczupły. Nosił buty podgumowane o płaskiej podeszwie, bez żadnych wrębów. Setki takich butów można zobaczyć w sklepach obuwniczych

Warszawy. Ślady dały nam więc na razie niewiele, natomiast wiemy, że Antkowiak żyje i próbuje wprowadzić nas w błąd.

Postanowili zająć się Waldemarem Nierokiem. Rączewski

otrzymał informację, że chłopak odsiedział cały wyrok i kilka miesięcy temu wyszedł na wolność. Komenda Dzielnicowa odnotowała ten fakt, a jeden z oficerów rozmawiał z Nierokiem w dzień czy dwa po jego zjawieniu się w mieście. Proponował mu pracę w jednej z fabryk i chłopak obiecał stawić się tam następnego dnia. W komendzie podano Rączewskiemu adres domowy Nieroka i miejsce pracy.

Pojechali najpierw na Żerań. Kadry fabryki nie znalazły jednak Waldemara Nieroka w spisie swoich pracowników; nikt nie przypominał sobie jego zgłoszenia, widocznie zbagatelizował propozycję.

- Jedziemy do mieszkania - rzekł Szczęsny, wracając do samochodu. - Gdzie to jest?

- Marymoncka dwadzieścia sześć. Trochę mu się nie dziwię, że nie chciał z Bielan co rano jeździć na Żerań. Może zgłosił się do Huty „Warszawa”?

Odnaleźli dom, weszli na trzecie piętro. Otworzyła im kobieta

jeszcze niestara, o zasępionej twarzy. Usłyszawszy, że to milicja, powiedziała prędko, jakby chciała się ich pozbyć:

- Nie ma Waldka. Nie wiem, gdzie jest.

- Pozwoli pani, że wejdziemy na chwilę? - spytał Szczęsny, udając że nie słyszy tych słów.

- Proszę - odsunęła się niechętnie. - Ale go nie ma.

W pokoju było nad podziw czysto, choć skromnie. Gospodyni podsunęła krzesła, sama przysiadła na brzegu tapczanu, całą swą postacią wyrażając cichy protest przeciw tej wizycie.

- Pani jest matką Waldemara Nieroka? - spytał Rączewski.

Skinęła potakująco głową, znów powtórzyła swoje uparte: „Nie ma go”. Szczęsny miał dar zjednywania sobie takich właśnie, steranych pracą i kłopotami z dziećmi matek czy ojców. Powoli, nie spiesząc się, zagadując o tym i owym, zdołał wreszcie wydobyć z kobiety, co mu było potrzebne.

Waldek po wyjściu z więzienia znalazł sobie pracę w Hucie „Warszawa” i nawet nieźle mu się tam wiodło. Ale po miesiącu coś się nagle odmieniło. Zaczął włóczyć się po nocach, nie patrzył matce w oczy, bąkał o jakichś pieniądzach, które mu się - jak twierdził - należą i że on te pieniądze pewnemu człowiekowi z gardła wydrze, a będzie miał. Nie chciał jednak powiedzieć, kim jest jego dłużnik. Raz rzucił jakby mimochodem, że to dotyczy dawnej sprawy, sprzed jego aresztowania.

- No i dwa tygodnie temu - ciągnęła Nierokowa już bez oporów - raptem uciekł z domu. Zabrał trochę rzeczy, wziął mi z komody

trzysta złotych, co je miałam na sweter odłożone... Zostawił kartkę, żebym go nie szukała, że jak załatwi, co ma załatwić, to wróci. Pewnie mu znów chodziło o te pieniądze.

- Proszę pani - rzekł Szczęsny, zastanawiając się nad tym, co usłyszał - jak to było, kiedy Waldek przyniósł do domu rzeczy zrabowane ze sklepu „Jubilera”? Ktoś go podobno odwiedził z samego rana?

Nierokowa zachmurzyła się znowu.

- Mnie wtedy w domu nie było - odparła twardo. - Gdybym była, do tego wszystkiego by nie doszło. On przed



tym nigdy nie kradł. Ja mam matkę na wsi, pojechałam do niej na dwa tygodnie. On to zrobił w tym czasie. To ten czarny go namówił! - krzyknęła z gniewem. - Żeby go krew zalała, łobuza przeklętego. Przez niego moje dziecko tyle lat w więzieniu siedziało.

- Widziała pani tego czarnego?

- A widziałam. Raz jeden, ale mi starczy na całe życie. Twarz to ma taką jak trup. Patrzy na człowieka, wydaje się, że wszystkich dokoła by pozabijał.

- Jak on się nazywa?

- Czy ja wiem. Waldek mówił o nim „Szwagier”. To takie pseudo, bo przecież żadnym naszym krewniakiem nie jest.

Rączewski wyjął z kieszeni kilka zdjęć portretu pamięciowego

Antkowiaka i podał Nierokowej. Wzięła do ręki nieufnie,

popatrzyła, twarz jej się zmieniła.

- To ten łajdak! - szepnęła. - To on, jak żywy! Kto go tak dobrze odrobił?

- Jeden artysta - rzekł Szczęsny wymijająco. - Proszę mi podać bliższe szczegóły znajomości pani syna z tym człowiekiem. Kiedy się poznali i gdzie?

Ale Nierokowa nie umiała na to odpowiedzieć. Pamiętała tylko, że jednego wieczoru Waldek przyszedł do domu ze „Szwagrem”, zamknęli się w pokoju i o czymś tam długo rozmawiali. Myślała,

że to ktoś ze szkoły, bo chłopak chodził wtedy do zawodówki, może nawet profesor (jak na kolegę był za stary). Siedziała w kuchni, zaparzyła herbatę, żeby im podać. Jak zechcą. Gdzieś po godzinie wyszli z pokoju, wtedy zaproponowała poczęstunek, ale chłopak rzucił pospiesznie, że nie mogą, nie mają czasu.

Wówczas to widziała „czarnego” pierwszy i ostatni raz. Później syn nie chciał nic powiedzieć na temat swego znajomego. A w

parę dni potem ona wyjechała na wieś. Po powrocie dowiedziała się, co zaszło...

- W domu u pani milicja nie znalazła zrabowanych przedmiotów?

- Nie. Poprzewracali wszystko, bałagan zastałam jakby po trzęsieniu ziemi, mówili jednak, że nic tu nie było.

Spojrzeli na siebie. Kapitan westchnął lekko, po rewizji ekipa powinna była z grubsza uprzątnąć mieszkanie.

- I jak pani sądzi, gdzie syn może teraz przebywać? Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie. Pojechała

któregoś dnia do huty. Tam jej powiedzieli, że przestał przychodzić do pracy. Ślad więc urywał się dwa tygodnie przedtem i trzeba było rozpocząć szukanie Nieroka po całej

Warszawie, a może i kraju. Szczęsny poprosił jego matkę o kartkę, którą Waldek zostawił przed ucieczką; zdjęcia i odciski linii papilarnych znajdowały się w Centralnej Re-gistraturze

Daktyloskopijnej.

Obaj oficerowie przypuszczali, że chłopak po wyjścia z więzienia postanowił odszukać „Szwagra” i upomnieć się

o przyzwoitą dolę za popełnione wówczas włamanie. Trzy tysiące złotych uważał widać za niewspółmierne wynagrodzenie za tak ciężką robotę, a srebrną tacę odebrano mu w trakcie aresztowania.

Derbach, zobaczywszy fotografie Nieroka, oświadczył stanowczo,

że jest to chłopak, który w kawiarni „Mazowsze” powiedział do niego dziwne słowa: „Królowa Nocy pozdrawia...” Dyrektor

przemilczał tylko, że sam jest autorem tego romantycznego

sformułowania, bo było mu wstyd.

- Królowa Nocy - mruknął potem Rączewski do Szczęsnego. -

Pewnie Derbach tak nazywał dziewczynę. Mój Boże, jak to się

czasem człowiek wygłupia, kiedy poderwie jaką szprote...

- Wiesz, co się teraz dzieje? - odparł kapitan, nie zwracając uwagi na jego słowa. - My szukamy Antkowiaka

i Nieroka. Nierok szuka Antkowiaka, a chciałbym wiedzieć, czy i

kogo szuka Antkowiak.

- Nikogo. Zaszył się gdzieś i siedzi jak mysz pod miotłą. Od czasu do czasu sprzedaje znajomym skradzione narkotyki. Albo nie

sprzedaje. Czekaj. Ma przecież pieniądze, wyłudzone od Derbacha.

Milicja znalazła Nieroka po czterech dniach. Mieszkał w melinie

dawnej handlarki z bazaru, jak się potem okazało dobrej znajomej

matki Janiny Stażek. Włóczył się po

Pradze wieczorami, zaglądał do barów i podrzędnych restauracji, węszył, myszkował po najciemniejszych uliczkach, obserwowany przez zmieniających się wywiadowców, bo Szczęsny polecił nie zatrzymywać chłopaka. Sądziło się, że wreszcie odnajdzie swego dłużnika i w ten sposób natrafią na ślad Antkowiaka.

Nierok ciągle szukał, nie spodziewając się, że czyjeś czujne oczy obserwują go dzień po dniu, godzina po godzinie. Że szukają z nim razem, chociaż oddzielnie.

Tymczasem pewnego dnia patrol milicyjny natrafił w bramie jednego domu na młodego mężczyznę z obfitą brodą i równie długimi włosami, ubranego mimo późnej jesieni w kraciastą koszulę, na której dyndały metalowe ozdoby i dzwoneczki.

Człowiek ten wzbudził zainteresowanie milicji nie tyle swym ubiorem, ile dziwnym zachowaniem, ślaniał się bowiem na nogach, mrucał coś do siebie i chichotał.

Zatrzymali go, poprosili o dokumenty. Nie dało się jednak nawiązać z nim żadnego kontaktu, chociaż nie zionął wcale alkoholem. Oczy miał błędne, palcami wykonywał w powietrzu delikatne ruchy, jakby grał na niewidzialnym instrumencie.

Milicjanci, zdezorientowani tym widokiem, zawieźli młodego mężczyznę do Pogotowia Ratunkowego, przypuszczając, że jest to może pacjent zbiegły z zakładu dla nerwowo chorych.

W Pogotowiu było tego wieczoru mało roboty, więc lekarz zajął

się bliżej niezwykłym klientem i oświadczył milicjantom, że przyprawdzili człowieka kompletnie zamroczonego narkotykami, bliżej nie określając jakimi. Na podstawie dowodu osobistego ustalono nazwisko: Donat Chciuk, i adres. Pacjent pozostał na razie w Pogotowiu, gdyż w końcu zapadł w twardy sen i trudno go było w tym stanie przewozić, milicjanci zaś pojechali do jego mieszkania na Mokotów. Na drzwiach widniała mosiężna tabliczka z wrytym napisem: „Donat Chciuk”, ale nikt nie odpowiadał na dzwonek. Sąsiedzi nie umieli nic bliższego o nim powiedzieć. Interpelowany dozorca wyjaśnił, że młody człowiek mieszka tam, i wymownym ruchem nakreślił na czole kółko.

- Kopnięty facet, panie kapralu - powiedział. - U niego zbierają się tacy różni, wie pan, hilsy, czy jakoś tak ich nazywają. Hysia to oni wszyscy mają na pewno. Pytanie tylko z czego żyją, bo do pracy żaden nie chodzi.

- Ja z Chciukiem kiedyś rozmawiałem - oderwał się jego sąsiad z

piętra. - Tłumaczył mi, że genetyka transformacji ujawniła u niego tylko jedenaście chromosomów i dlatego ma ujemne faksymilia.

Gdybym ja był jego ojcem, to bym mu te wszystkie chromosomy wybił z głowy, zapędził do nauki i do roboty. Powiedziałem mu to, a on mi się przestał kłaniać.

- Oni w tym mieszkaniu ciągle piją - wtrąciła żona dozorca. - Raz tam weszłam, bo woda przeciekała w łazience, widziałam, że łazili po pokoju jak błędne owce. I dziewczyny też były.

Drugi sąsiad, milczący dotychczas, rzekł:

- Mnie się wydaje panie kapralu, że to nie alkohol. Jestem

felczerem, trochę się na tym znam. Prasa pisała kiedyś, że hippisi wachają tri. Ten cały Chciuk na takiego mi wygląda.

Milicjanci zawiadomili o wydarzeniu swoją komendę, a ta Pałac

Mostowskich i następnego dnia kapitan Szczęsny wybrał się do

Chciuka na Mokotów.

Człowiek o niezwykłym imieniu Donat był w domu, lecz w

bardzo kiepskim humorze. Na widok Szczęsnego skrzywił twarz, przyjrzał mu się i rzekł niepewnie:

- Czy ja cię znam? Bo nie pamiętam. Głowa mnie boli.

- Co się wygłupiasz? - mruknął kapitan, mijając go w progu. W

pokoju zaparło mu na chwile oddech, zaduch był potężny. Nie sprzątano tu chyba od roku, a gospodarz nie miał widać zwyczaju otwierać okna.

- Przychodzę od „Szwagra”.

- Czyjego szwagra? - jęknął narkoman, kładąc się na tapczanie. -

Zamknij drzwi, bo wieje.

- Zbudź się, kretynie! Od niczyjego szwagra, tylko od „Szwagra”.

Było to powiedziane niezbyt jasno. Chciuk jednak zrozumiał.

Oczy mu rozbłysły, usiadł, owinął się kołdrą i rzucił spieszenie:

- Przyniosłeś?

- Nie. Zapomniałeś, że „Szwagier” każe do siebie przychodzić po towar?

Mówiąc to patrzył uważnie na młodego człowieka, gotów każdej sekundy zmienić linię postępowania, gdyż blef mógł się nie udać.

Szczęśny szedł po omacku. Na twarzy Chciuka, opuchłej ze snu, widać było wysiłek skupienia myśli, co mu się niezbyt udawało.

Milczał chwilę, a potem spytał:

- Dlaczego mam iść do niego? Dlaczego mi nie przyniosłeś? Co?

Mów, bo mnie cholera bierze i zimno trzęsie. Po jakie lichy mam się wlec na tę zas...ą Pragę?

- Na Pragę? - zdziwił się kapitan.

- Przecież Ząbkowska jest na Pradze. Idiotę ze mnie robisz, czy co! Dlaczegoś nie zabrał tego ze sobą, ty... ty...

Po policzkach Chciuka potoczyły się strumienie łez. Usta mu się trzęsły, ciekło z nosa, nie fatygował się nawet, żeby sięgnąć po chustkę, jeżeli ją w ogóle miał. W końcu otarł twarz brzegiem brudnego prześcieradła, westchnął desperacko i spytał:

- Kiedy mogę tam iść?

- A choćby zaraz - odparł Szczęśny. Wstał z krzesła i dodał: - Ja nie mam czasu. Trzymaj się stary i jedź do niego, bo zdaje się, że on na noc gdzieś wyjeżdża.

Chciuk poderwał się z tapczana, chwycił walające się na podłodze skarpetki. Na Szczęśnego nie zwracał już uwagi. Kapitan wyszedł z mieszkania, zbiegł po schodach. W następnej bramie czekali na



niego wywiadowcy, po drugiej stronie ulicy stał nieoznakowany radiowóz. Wsiedli, kapitan nie spuszczał wzroku z domu, w którym mieszkał narkoman.

Jechali potem za nim ostrożnie, z daleka, aby go nie spłoszyć.

Chciuk wskoczył do pospiesznego, widzieli jego brodą twarz przez okna autobusu. Wysiadł w pobliżu Ząbkowskiej.

Szczęśny musiał pozostać w radiowozie, gdyż chłopak mógłby go rozpoznać, wywiadowcy we trzech rozsypali się po ulicy i zmieszali z tłumem, nie tracąc z oczu chudej, lekko przygarbionej sylwetki.

Przed jedną z bram Chciuk zawahał się na chwilę, obejrzał ostrożnie na prawo i na lewo, postać jakby niezdecydowany, wreszcie wszedł w podwórze. Minął je, nie zatrzymując się przy żadnej klatce schodowej, zagłębił się w drugą bramę i wyszedł na mały, brudny skwerek, wciśnięty między kompleks bloków.

Stanął, zadarł głowę do góry i chwilę patrzył pilnie w okna na trzecim piętrze. Wywiadowcy śledzili go z uwagą, nie sposób jednak było się zorientować, o które okno - czy okna - chodzi.

Wreszcie Chciuk ruszył ku schodom.

Dwóch milicjantów pozostało na dole, trzeci szedł cicho za narkomanem, bacząc, aby nie zaskrzypiały stare, drewniane stopnie. Na trzecim piętrze, po obu stronach klatki schodowej, biegły dwa korytarze, ciemne i duszne. Chciuk skierował się na prawo. Teraz nie dało się już iść za nim, mógłby to spostrzec i

wycofać się w ostatnim momencie. Wywiadowca pozostał więc o kilka stopni niżej, starając się wysledzić, do których drzwi zastuka.

Wreszcie w korytarzu ukazała się smuga światła, ktoś stanął w progu.

- Po coś przyszedł? - usłyszał wywiadowca. Przykleił się do ciemnej ściany, potem z wolna przesunął się w górę, aby bezszelestnie ukryć się za jakimś starym meblem, wystawionym na korytarz.

- Jak to: po co? - zdziwił się Chciuk. - Przecież masz to dla mnie. Przysłałeś kogoś. Daj szybko!

Próbował wejść do mieszkania, wywiadowca usłyszał szamotanie i rozgniewany głos tamtego.

- Nikogo po ciebie nie przysyłałem, ty durniu, jeszcze nie wytrzeźwiałeś po wczorajszym. Odczep się, nic nie mam. Za darmo nie daję.

- Mam pieniądze - zawołał Chciuk i, widać kopnięty czy uderzony, jęknął z bólu. - Mam forszę - dodał ciszej - Patrz! Trzysta złotych.

- No to wejdź.

Drzwi zatrzasnęły się, zapanowała cisza. Wywiadowca odczekał parę minut, potem wychylił się przez poręcz, dał znak kolegom, aby szli na górę. We trzech zagłębili się w korytarz, świecąc latarkami. Było tam troje drzwi do różnych mieszkań. Odczytali numer lokalu, do którego wszedł Chciuk:

dwadzieścia trzy. Nie dobiegał stamtąd żaden szelest, może pokój oddzielony był od korytarza kuchnią.

Porozumieli się szeptem. Po kilku minutach najstarszy z nich, doświadczony, stary wyga milicyjny, zastukał do drzwi. Raz, drugi... jeszcze parę razy. Wreszcie po tamtej stronie coś się poruszyło i męski głos spytał: - Kto tam?

- Inkasent - odparł wywiadowca. - Niech pan otwiera, bo mi się spieszy.

- Jaki inkasent? - indagował głos.

- Jaki ma być? Z elektrowni. Coś pan, z księżycyca spadł?

Usłyszał szcęk zamka, drzwi uchyliły się. Stał w nich mężczyzna o bladej twarzy i ciemnych, gładko przylegających włosach. Miał krótką, gęstą brodę. Oczy jego nieufnie zlustrowały stojącego.

- Jeszcze pana tu nie widziałem - zauważył.

- Bo ja chodzę na Targowej - odparł wywiadowca. - Kolega pojechał do sanatorium i teraz zbieram za niego.

Wszedł śmiało do kuchni, wyłowił wzrokiem licznik na ścianie, poświecił sobie latarką, odczytał dane i spisał je na najprawdziwszym rachunku, w który był zaopatrzony. Obliczył zużycie gazu, podał gospodarzowi kartkę. Kiedy czekał na pieniądze, rozejrzał się dokoła, zapamiętał rozkład mieszkania, twarz i całą sylwetkę gospodarza, jego ruchy, głos. Chciuk siedział nieruchomo w głębi lokalu, nie patrząc w ich stronę.

Potem wywiadowca wydał resztę, powiedział do widzenia i

wyszedł.

Koledzy czekali na schodach, gotowi w każdej chwili pośpieszyć z pomocą. Uspokoił ich uśmiechem, zastukał do następnych drzwi, ucieszył się, że nie było tam nikogo. Głośno stąpając zszedł jeszcze na drugą stronę korytarza, potem bezszelestnie zbiegł po schodach na podwórze.

- Więc tak - powiedział do kapitana Szczęsnego, siedząc już w radiowozie. - Ten facet przypomina portret pamięciowy i rysopis, jaki podał dyrektor Derbach, chociaż zapuścił

brodę. Na palcach są te ciemne plamy. Okularów nie miał. Numer mieszkania dwadzieścia trzy. Gość nazywa się Alfred Zencykowski, tak w każdym razie napisane w spisie lokatorów. Nie rozmawiałem z dozorcą, więc nie wiem czyje to mieszkanie, bo może ten Zencykowski, to kto inny, a facet z brodą mieszka jako sublokator albo krewny.

- Zaraz. A skądżeś ty wiedział, na jakie nazwisko wypisać rachunek, jeśli spis lokatorów przeczytałeś dopiero potem? - zdziwił się Szczęsny. - Przecież nie mogliście wiedzieć, do którego lokalu Chciuk wejdzie.

- Proste. Zanim ja tam poszedłem jako inkasent, Jacek poleciał na dół sprawdzić, kto mieszka pod dwudziestym trzecim. Przecież było nas trzech do roboty - uśmiechnął się wywiadowca. - Gorzej, jak się takie rzeczy trafią człowiekowi w pojedynkę. Wtedy trzeba dobrze ruszyć głową, żeby nie popsuć sprawy.

Radiowóz z dwoma wywiadowcami pozostał na Ząbkowskiej, a kapitan z „inkasentem” pojechali do Komendy Stołecznej.

Szczęsny przypomniał wywiadowcy, aby później załatwił w Miejskim Przedsiębiorstwie Inkasa sprawę rachunku i zdał pobraną opłatę.

Podczas kiedy milicjanci pilnowali mieszkania na Ząbkowskiej, Szczęsny i Rączewski omawiali u pułkownika plan działania.

Najprostsze było, oczywiście, aresztować Zencykowskiego.

Jeżeli jednak dałoby się względnie łatwo udowodnić mu szantaż i

włamanie, gorzej mogło być ze sprawą zabójstwa Janiny Stążek.

Dysponowali tylko liniami papilarnymi na negatywie filmu i na

jednej z szuflad w aptece. Mieli jeszcze inne ślady, wskazujące na jedną i tę samą osobę, tak sprytny jednak przestępca, jak

Zenczykowski, z pewnością przygotował sobie zawczasu dobre

alibi na wieczór, w którym zabito dziewczynę.

- Podsumujmy na razie wszystkie dowody rzeczowe -powiedział

pułkownik. - A więc linie papilarne na rolce filmu, zakładając, że są jego. Następnie ślady obuwia przy garażu. Co jeszcze?

- Bardzo drobne ślady jakiegoś proszku w kopercie anonimowego

listu - dorzucił Szczęsny. - Ewentualnie

maszyna do pisania. To bardzo charakterystyczne, trudno znaleźć dwie takie same, z tymi samymi cechami powstałymi w trakcie użytkowania.

- Co więcej?

- Więcej chyba nic, biorąc pod uwagę zabójstwo. Pozostaje włamanie i kradzież w aptece oraz handel narkotykami, ale on może w mieszkaniu nic już nie mieć. Obawiam się, że Chciuk jest słabym świadkiem. Chodzi mi o jego sylwetkę, morale, zachowanie.

- Trudno, lepszego nie mamy. Trzeba zatrzymać Zenczykowskiego, przeprowadzić w mieszkaniu rewizję. Szczęsny, weź nakaz od prokuratora. Zatrzymasz pod zarzutem włamania do apteki. Nic więcej na razie.

W godzinę później Szczęsny i Rączewski podjechali na miejsce.

Wywiadowcy powiadomili ich, że wszystko w porządku - ani Zenczykowski, ani Chciuk dotychczas nie opuścili mieszkania.

Porucznik sprawdził u dozorca, kto jest lokatorem pod numerem dwadziestym trzecim i otrzymał odpowiedź, że niejaki Alfred Zenczykowski, fotograf, nieżonaty, mieszkający samotnie, od niedawna, w pokoju z kuchnią.

Jeden z milicjantów pozostał na schodach, reszta odeszła spod drzwi. Szczęsny mocno zastukał. Po chwili w progu ukazał się Donat Chciuk, przecierając zaspane oczy. Na widok kapitana,

otrząsnął z miejsca, brwi ściągnęły mu się gniewnie.

- Czego chcesz? - warknął. - Ruszaj precz. Okłamałeś mnie.

Chciał zatrzaskać drzwi, ale kapitan zastawił je nogą.

- Nie tak szybko - powiedział, wchodząc, mimo sprzeciwów, do mieszkania, za nim ukazali się Rączewski i wywiadowca. Chciuk pobladł, cofnął się w głąb kuchni, milczał. W pokoju nie było nikogo.

- Gdzie Zencykowski? - spytał kapitan.

- Wyszedł - odparł Chciuk niechętnie.

Oficerowie spojrzeli na wywiadowcę, ten bezradnym gestem uniósł ramiona w górę i zaprzeczył gwałtownie.

- Kiedy wyszedł - atakował Szczęsny. - Dokąd?

- Z pół godziny temu. Nie wiem, dokąd. O co chodzi?

- Jesteśmy z milicji - okazał znaczek. - Proszę przypomnieć sobie, dokąd poszedł Alfred Zencykowski To bardzo ważne.

Rączewski wściekły wypadł na schody, sądził, że wywiadowcy pokpili sprawę. Drugi milicjant przysięgał, że nie ruszyli się z podwórza i z całą pewnością nie wyszedł w tym czasie nikt, kto choć trochę przypominałby Zency-kowskiego. Owszem, wychodziły dwie dziewczyny, potem dziecko z piłką, potem jeszcze jakiś chłopak w wieku około szesnastu lat. Nikt więcej.

- Za dziewczynę przecież się nie przebrał! - mówił wywiadowca. -

Za dziecko też nie. Chłopak przeszedł tuż koło mnie, z całą pewnością nie miał więcej niż kilkanaście lat, widziałem z bliska jego twarz.



- Cóż, w takim razie jest u kogoś z sąsiadów - stwierdził

porucznik. - Poczekamy na niego, przeprowadzimy rewizję, a wy

w dalszym ciągu uważajcie na dole.

Zabrali ze sobą dozorcę, bardzo zaintrygowanego tym, co się

dzieje, posadzili go w mieszkaniu, a sami zabrali się do roboty.

Chciuk z kuchni obserwował ich złym wzrokiem, nic jednak nie

mówił.

Znaleźli w szafie maszynę do pisania. Cechy jej pokrywały się z

tymi, które ustalono przy ekspertyzie listu. Rączewski, specjalista od daktyloskopii, zabrał na folię mnóstwo śladów na meblach,

klamkach i mniejszych przedmiotach. W większości powtarzały

się te same, chociaż były i inne. W głębi pokoju, za grubą zasłoną, znajdowała się nieźle zaopatrzona ciemnia fotograficzna.

Szczęśny natrafił w szufladzie biurka na cały stos zdjęć

podobnych do tych, o jakich mówił Derbach, tylko amant był tu

inny, nieznanym. Prócz tego w oddzielnej kopercie znajdowały się

odbitki z negatywu, znalezione w torebce Janiny Stążek.

- No, to rezultaty lepsze, niż sądziłem - mruknął kapitan do

Rączewskiego. - Gdzież ten facet mógł pójść?

- Trudno, trzeba na niego poczekać.

Po godzinie dozorca zaczął się niecierpliwić. Zwolnili go więc,

nie był już potrzebny. Chciuk bez ceremonii położył

się na tapczanie gospodarza i zasnął natychmiast. Wywiadowca spoglądał na niego trochę zazdrośnie, był mocno zmęczony.

Czas mijał: wskazówki zegara na ścianie przesuwały się coraz dalej, nastał wieczór, a Zenczykowski się nie zjawiał. Kapitan zaniepokoił się: a jeżeli coś przeczuł i uciekł? Tak, ale którądy?

Podniósł się, wyszedł na korytarz i spojrzał w górę. Wywiadowcy pilnowali w podwórzu i u podnóża klatki schodowej. Jeżeli jednak...

Szczęśny zaczął wchodzić na czwarte piętro, potem wyżej. Tam był strych. Do otworu w suficie przystawiona była drabinka, używana zwykle przez kominiarzy. Poświecił latarką, przyjrzał się szczelom i poręczy.

Na zakurzonym drewnie wyraźnie odbijały się ślady rąk i obuwia wskazujące, że ktoś wspinał się po drabinie bardzo niedawno, może przed paroma godzinami.

Otwór był przymknięty, kłódka zwisała luźno, zerwana silnym szarpnięciem. Kapitan wahał się chwilę. Może Zenczykowski ukrył się na strychu? A może przebiegł po nim i wyszedł inną klatką schodową, gdzieś na następne podwórze? Szczęśny znał te długie, stare bloki, których strychy ciągnęły się czasem nad kilkunastoma klatkami. Kiedyś z takiego wygarnęli całą grupę uciekinierów z domu poprawczego, którzy urządzili sobie melinę.

Tak czy owak potrzebna jest większa ekipa milicyjna. Kapitan

zszedł na dół, połączył się z radiowozu z komendą i poinformował o sytuacji. Po krótkim czasie zjawily się jeszcze dwa samochody z pracownikami służby kryminalnej, a pułkownik, na wszelki wypadek, podał przez stanowisko dowodzenia komunikat do wszystkich radiowozów, z rysopisem Alfreda Zenczykowskiego i nakazem zatrzymania, gdziekolwiek by się pojawił. Sądził bowiem, że szantażysta zdążył uciec przez strych i będzie próbował zamelinować się w innej dzielnicy.

Wkrótce okazało się, że pułkownik miał rację. Ekipa znalazła ślady stóp prowadzące przez zakamarki strychu aż na drugi koniec połączonych bloków. Tam widać było, że ktoś oderwał skobel przy otworze, spuścił się po dra-

bince i zbiegł na dół. Schody wychodziły na inne podwórze, a stamtąd można było bez żadnego trudu znaleźć się już na Targowej.

- Teraz szukaj wiatru w polu - mruknął Rączewski, kiedy stanęli na chodniku. - Cholera, trzeba mi było zostać przed drzwiami jego mieszkania.

- Prawda - przyznał Szczęsny. - Nie wzięliśmy pod uwagę wyjścia przez górę. Widocznie wypytał Chciuka, kto u niego był, nabrał podejrzeń i zwiął. Sądził pewnie, że Chciuk wlecze za sobą „ogon”.

- I miał rację.

Pozostawili w mieszkaniu dwóch wywiadowców, zbudzili Chciuka i zabrali do Pałacu Mostowskich. Szczęsny zaparzył mu własnoręcznie mocną kawę, zdobył jakieś kanapki. Wytrzeźwiony i nakarmiony narkoman nabrał do kapitana sympatii i darował mu

podstępłą wizytę. Dowiedziawszy się zaś, że na „Szwagrze” ciąży podejrzenie o zabójstwo, sposepniał, zamyślił się na parę minut, a potem oświadczył, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, powie

więc co tylko wie.

Zencykowskiego poznał dwa lata temu, w jakimś towarzystwie, nie pamiętał już ani gdzie, ani u kogo. „Szwagier” nie nosił wówczas brody, zajmował się fotografowaniem i miał przyzwoite atelier w centrum miasta. Wynajmował też sublokatorski pokój, drogi, elegancko umeblowany. Przelotna znajomość szybko się

urwała, tych dwóch mężczyzn nie ze sobą nie łączyło.

Wiosną tego roku Chciuk, który utrzymywał się z dorywczych prac plastycznych przy dekoracji sklepów i urządzaniu drobnych wystaw, popadł w nałóg narkotyzowania się. Była to zresztą pozostałość po długotrwałej chorobie, w czasie której otrzymywał dość duże dawki środków odurzających dla uśmierzenia bólu. Nie próbował nawet walczyć z groźnym nałogiem i stopniowo zaczął szukać towarzystwa jemu podobnych. Zbierali się w kilka osób u niego w mieszkaniu, częstowali czym kto miał, wachali opary tri, w ostateczności pili spirytus, zmieszany z jakimiś chemikaliami, które wywoływały stan odurzenia.

W tym otoczeniu zjawił się raz Zenczykowski. Ktoś go przyprowadził, Chciuk zapamiętał jednak, że jego dawny znajomy nie wahał się ani nie palił haszyszu, był przez cały czas trzeźwy i uważnie rozglądał się dokoła. Później rozeszła się poufna wiadomość, że u „Szwagra” można kupić narkotyki, dostępne tylko w aptekach na receptę, a nawet i te, których w ogóle kupić na rynku nie można, a więc prócz morfiny i pantoponu - heroinę, do-lantynę, eukodal. Odtąd Chciuk rujnował się na środki odurzające, gdyż Zenczykowski był skąpy, bardzo rzadko udzielał kredytu i często podwyższał ceny, twierdząc, że przy zdobywaniu narkotyków ryzykuje wiele.

- Czy u pana w mieszkaniu bywały w czasie tych spotkań kobiety?

- spytał Szczęsny, stawiając przed Chciu-kiem drugą szklanę kawy.

- Tak. Koledzy przyprowadzali czasem swoje znajome.

- Pamięta pan ich nazwiska? Chciuk wzruszył ramionami.

- U mnie nikt się nie przedstawiał. Czasami wymieniali tylko imiona, albo pseudonimy. A o kogo panu chodzi?

- O Janinę Stążek.

- Nie. Chyba nie. Jak wygląda?

- Młoda, ładna dziewczyna. - Kapitan podsunął mu zdjęcie.

Narkoman przyglądał się przez chwilę, potrząsnął głową. Nie znał Janiny Stążek. przypuszcza też, że do niego z nikim nie przychodziła.

- Tam... kiedyś Zencykowski wspomniał o jednym chłopaku, który odwalił za niego grubszą robotę. Nazywa się tak dziwnie...

zaraz, Bezrok? Małorok?

- Może Nierok?

- O, właśnie! Nierok. On chyba poszedł siedzieć. Właśnie za tę robotę. Jakieś duże włamanie. Więc ten Nierok może mógłby powiedzieć o Zencykowskim trochę więcej. Bo dla mnie, to on był tylko dawcą pantoponu czy psyche-dryny, poza tym mnie nie interesował. Nie pytałem go o nic osobistego.

Do wywiadowców, śledzących każdy krok Waldemara Nieroka, poszła informacja: zatrzymać i dostawić do Komendy Stołecznej. Tymczasem Chciuk nagle poprosił zupełnie serio, aby go zatrzymać w areszcie. Oświadczył, że boi się Zencykowskiego. Tamten zarzucił mu bowiem, że „skapował” i nasłał na niego milicję. Chciuk był niemal pewny, że gdyby nie strach przed milicją, „Szwagier” dźgnąłby go nożem i dopiero wtedy uciekł.

- Ten inkasent też mi pomógł - dodał. - Zencykowski był taki zły, że brał się już do bicia. A ja jestem teraz słaby, można mnie łatwo wykończyć. Ale właśnie przyszedł inkasent z elektrowni, no i potem Zencykowski już się zaczął śpieszyć, na mnie się nie oglądał.

- W mieszkaniu nie było narkotyków. Nie wie pan, gdzie on te trzymał?

- Na dworcu, w sejfie. Tak słyszałem. W walizce.

Nie zamknięto Chciuka w areszcie, bo nie było podstaw ku temu,

pozwolono mu jednak zatrzymać się na razie w poczekalni komendy dzielnicowej przy Wilczej. Szczęsny sądził, że odnalezienie Zencykowskiego to kwestia godzin. Wszystkie dworce, zarówno kolejowe jak i PKS, były inwigilowane przez wywiadowców, ekipy milicyjne przeczesywały lokale, meliny, bary i restauracje, patrole zwracały baczność na wszystkie osoby, które przypominały sylwetką Zencykowskiego. Tej nocy, jeden czy drugi z przechodniów lub gości w lokalu, zżymał się na żądanie okazania dowodu osobistego, mruczał pod nosem o nadgorliwości milicjantów, którzy „zamiast łapać chuliganów, legitymują spokojnych obywateli”. Żaden z nich oczywiście nie wiedział, że chodzi o poszukiwanie groźnego przestępcy.



## ROZDZIAŁ V

Waldemar Nierok nie był łatwym rozmówcą. Patrzył na oficerów spode łba i nie wyrażał chęci powiedzenia czegokolwiek.

Stwierdził tylko krótko, że swoje odsiedział i nie powinien już być więcej ciągany.

Z godzinę trwało ostrożne kołowanie na tematy: dlaczego nie mieszka w domu, tylko włóczy się po knajpach i melinach, dlaczego po wyjściu z więzienia nie podjął oferowanej pracy, kogo szuka tak wytrwale itd. Wreszcie widząc, że w ten sposób nie osiągnie celu, Szczęśny postanowił uderzyć frontalnie.

- Gdzie jest Zencykowski - spytał, patrząc na Nieroka swymi czarnymi, wąskimi oczami.

Chłopak drgnął lekko. Nie odpowiedział, ale twarz ściągnęła mu się jak u złego psa.

- Nie chcesz mówić. A on cię oskarżył o zabójstwo Królowej Nocy...

Blef był mocny, Nierok zerwał się z krzesła z zaciśniętymi pięściami. Rączewski położył mu ręce na ramionach i, lekko naciskając, zmusił ponownie do zajęcia miejsca. Wtedy kapitan rzucił na biurko kilka zdjęć tak, aby Waldemar musiał na nie spojrzeć. Chłopak zdrętwiał, gwałtownie odwrócił oczy.

- Zląkłeś się? Tak wyglądała, kiedy znaleźliśmy ją w parku, pod krzakiem. No? Co teraz powiesz?

Nierok z wysiłkiem rozchylił usta, przełknął ślinę.

- Ja jej nie zabiłem - odparł. - Ja... Chciałem z nią się żenić.

Myśmy mieli... razem... - Wybuchnął płaczem, opierając głowę o biurko.

Długo trwała opowieść Nieroka, kiedy uspokoił się na tyle, że mógł już mówić. Wtedy jednak jakby pękły tamy zamykające mu usta. Oficerowie nie potrzebowali już pytać o nic, Nierok opowiadał sam szczegółowo, czasem tylko ściągając gniewnie brwi, gdy coś w tej opowieści dotkliwiej go zabolalo.

Janinę Stażek poznał po wyjściu z więzienia. Nie od razu

dowiedział się, że dziewczyna „pracuje” dla Zencykowskiego, z którym kontaktował się, bo miał - jak twierdzi - dawne porachunki.

Chodziło mu o dolę za włamanie do „Jubilera”, za które, jak to dokładnie liczył podczas pobytu w więzieniu, należało mu się

dużo więcej niż dostał.

Zencykowski wpierw zbył go niczym, potem widząc, że chłopak jest uparty, wciągnął go do swojego atelier fotograficznego.

Nierok pomagał przy zdjęciach, chodził po sprawunki, sprzątał.

Czasem dostawał zadanie trudniejsze. Trzeba było przez pewien

czas obserwować zamożnych panów na stanowiskach, dowiedzieć

się o ich stosunkach rodzinnych, trybie życia, miejscu pracy i tak dalej. Kiedy Zencykowski uznał, że ofiara godna jest zachodu, do

akcji wkraczała Królowa Nocy. No a później sztafetę przejmował sam „Szwagier”.

- Ile osób Zencykowski szantażował? - spytał kapitan.

- Ile dawniej, to nie wiem, ale odkąd zacząłem u niego pracować, to chyba ze trzy. Derbach był ostatni. Zencykowski wyciągnął od niego najpierw pięć tysięcy, potem piętnaście. On mi tego nie

mówił, ale ja zobaczyłem jego notes, tam wszystko zapisywał.

Wiedziałem, gdzie go chowa. No i potem Derbach już nie chciał płacić albo nie miał forsy. Wtedy Zencykowski kazał mi obserwować innego faceta. Ale... Myśmy z Janką już nie chcieli dla niego pracować. Janka miała dość. Nienawidziła Zencykowskiego.

- Więc dlaczego to robiła? Przecież nikt jej nie kazał!

- Nie. Ale najpierw to on się nią zajął, jeszcze jak była u matki.

Kupował jej stroje, buty, torebki, kazał ładnie się czesać, nawet ją trochę uczył po angielsku. Dziewczyna, jak to one... Podobało jej

się, że wszystko ma. Potem jej pokazał, jak się obchodzić z aparatem fotograficznym.

Miał taki malutki, japoński. No i tak się zaczęło z tymi zdjęciami.

- A potem?

- Myśmy jemu powiedzieli, że więcej już nie będziemy dla niego

pracować. Ja bym dostał robotę w jednej fabryce. Janka

powiedziała mi kiedyś, że on się w niej zakochał, ale ma do niego

wstręt. On potrafił ją uderzyć, kopnąć, jak był zły. Bała się odejść, bo groził, że ją zabije. Wtedy powiedziałem, żeby się nie bała, że wyjedziemy z Warszawy na jakiś czas, dostaniemy gdzieś robotę,

przeczekamy, aż on zapomni, znajdzie inną. Wtedy wrócimy.

Janka się zgodziła. No i powiedzieliśmy mu o tym. To było w

czwartek przed południem.

- Gdzie?

- Tam, u niego. W atelier. On był blady jak trup. Zaczął się

wściekać, wtedy Janka mu powiedziała, że jak będzie się

sprzeciwiał, to my już wiemy, kogo o tym wszystkim zawiadomić.

Że ona woli nawet odcierpieć za to robienie zdjęć, ale potem

będzie już miała spokój. Na to Zency-kowski tak się jakoś na nią

popatrzał i odparł, że dobrze. Że będzie miała spokój już teraz. Ale musi tylko jeszcze jedną rzecz dla niego zrobić i potem może

sobie odejść.

- On się na wieczór umówił z Derbachem w parku przy Placu

Komuny. Więc kazał jej tam razem z nim pojechać, żeby była

świadkiem, jak Derbach mu da ostatnią ratę -tak się wyraził - i za to dostanie resztę negatywów i zdjęć. Janka nie chciała jechać, bo po co świadek, jeżeli i tak między nimi sprawa skończona. Ale

Zencykowski postawił warunek: jak nie pojedzie, to jej od siebie

nie puści. W końcu zgodziła się. Ja wtedy wyszedłem, mieliśmy spotkać się z Janką na drugi dzień w południe, w „Kolorowej”. W piątek czekałem na nią dwie godziny, nie przyszła. Pojechałem do jej matki, ona tam czasem zachodziła. Nie było. Szukałem po mieście, w końcu poszedłem do atelier Zenczykow-skiego.

Zastałem drzwi zamknięte, dozorca powiedział mi, że ten pan już się rano wyprowadził, rzeczy zabrał i nie ma po co czekać. Adresu nie znał albo nie chciał podać.

- Gdzie było to atelier?

- Na Brackiej. A sublokatorski pokój wynajmował kawałek dalej, na tej samej ulicy. Ale i tam już nie mieszkał, wyprowadził się poprzedniego dnia wieczorem. Dokąd, gospodyni nie wiedziała.

Zacząłem szukać Janki, a potem i jego. Nie znalazłem. W końcu domyśliłem się, że on ją zabił. Przysięgłem sobie, że go dostanę.

- Ale nie znalazł go pan - stwierdził kapitan.

- Nie - chłopak opuścił głowę. - Musiał się gdzieś dobrze zamelinować. U tych jego krewnych to z pięć razy byłem, próbowałem na wszystkie sposoby, że niby mam mu oddać...

- U jakich krewnych? - przerwał Szczęsny.

- A u tych na Targowej. Parczewscy się nazywają.

- Targowa ile? Szybko!

Chłopakowi oczy rozbłysły. Podał adres, zerwał się z krzesła.

- Panie kapitanie, pojedę! - krzyknął. - Ja z wami pojedę, dobrze?

Ja go znajdę! - szarpał oficera za rękaw, na policzkach miał

gorączkowe rumieńce.

Szczęśny, mimo błagań Nieroka, zostawił go pod opieką sierżanta,

a sam z Rączewskim i wywiadowcami pojechał na Targową.

Postanowili wpierw dyskretnie otoczyć wszystkie możliwe

wyjścia, klatki schodowe, strychy, potem zaś zamknąć sieć.

Główną bramę pozostawili jak gdyby nietkniętą obserwacją,

każdy mógł tedy swobodnie wejść i wyjść, chociaż każdego

odprowadzały czujne oczy ukrytych wywiadowców.

Parczewscy byli to znani milicji praskiej handlarze wódką.

Procederem tym zajmowała się właściwie cała rodzina, z dziećmi

włącznie. Stary Parczewski, złodziej-recydywista, miał „wariackie

papiery", z których korzystał, ile tylko się dało. Przeważnie wysiadywał w domu. Pił, bił żonę i zięcia, a kiedy solidarnie

wypędzali go na ulicę, włóczył się po zakamarkach Ząbkowskiej,

Brzeskiej, Targowej, odwiedzał „Portową" i bar „Inwalidów", załatwiając tam swoje ciemne interesy.

Jego żona, córka i zięć, a także troje młodszych dzieci, nie

splamili się jeszcze żadną pracą, prócz nielegalnego

handlu czystą z czerwoną kartką. Od wielu miesięcy nie płacili za mieszkanie, ostatnio nawet i za światło, zadowolając się świeczką.

Pretekst do odwiedzenia tej sławetnej rodziny znalazł się łatwo:

wywiadowcy z Północnej Pragi zastukali do drzwi, a kiedy któreś

z dzieci otworzyło, weszli do środka. Parczewski spał, jego żony

ani zięcia nie było. Starsza córka poznała funkcjonariuszy,

westchnęła z ubolewaniem, że też władzy chciało się wychodzić

na ulicę na taką brzydką pogodę...

Wywiadowcy spenetrowali dokładnie niewielkie mieszkanie, co

nie było żadnym problemem. Poza tapczanami i paru krzesłami

nie było tam właściwie nic. Trochę ubrań wisiało na gwoździach,

buty stały na gazecie w przedpokoju.

- Matka na handel znowu poszła? - spytał starszy wywiadowca

zaglądając do brudnej kuchni.

- My nie handlujemy - odparła córka z godnością. W tym

momencie przypomniała sobie, że nie dalej jak cztery dni temu

tenże wywiadowca sporządził na nią wniosek do kolegium za

sprzedaz w bramie półlitrowki czyściochy, więc dodała z

zażenowaniem: - My teraz już nie handlujemy. Mama do sklepu

poszła.

- Dobra, dobra - mruknął wywiadowca. - Już ja was znam.

Wyszli, stwierdziwszy niezbitcie, że nikt obcy w mieszkaniu się

nie ukrył. Szczęsny postanowił inwigilować dom, sądził bowiem,



że prędzej czy później Zencykowski tu się zjawi.

Minał dzień, zmieniły się wywiadowcze posterunki, nastąpiła chmurna, deszczowa noc. Szczęsny z Rączewskim siedzieli w Komendzie Dzielnicowej Północnej Pragi, u naczelnika służby wywiadowczej. Chcieli być blisko w razie gdyby nadszedł sygnał, że poszukiwany szantażysta odwiedził swoich krewnych.

Szczęsny niecierpliwił się. Porucznik wyciągnął z kąta zabraną przez milicjantów planszę hazardowej gry „w trzy miasta”, rozłożył na biurku i powiedział:

- Chodź, zagramy, ja będę właścicielem, a ty graczem. Obstawiaj numery!

Kapitan wzruszył ramionami, ale dał się wciągnąć w zabawę. W plastikowym kubku grzechotały kostki. Szczęsny kładł zapałki na ceratowej, prymitywnie narysowanej planszy i ciągle przegrywał, a Rączewski zagarniał coraz to nowe zapałki do pudełka. Zajrzał któryś z wywiadowców, roześmiał się i rzekł:

- Myśmy tego hazardzistę nakryli w bramie przy Targowej. Miał trzy takie plansze, trzy kubki i nagrobkową świeczkę, bo tam ciemno. Jeden facet w ciągu dziesięciu minut przegrał do niego dwieście zet-eł. Te kostki są specjalnie nacinane po brzegach. Straci pan wszystkie zapałki, kapitanie.

- Oddaj, bandyto - Szczęsny wyciągnął rękę po pudełko. Nagle korytarzem ktoś przebiegł, trzasnęły drzwi i po chwili wszedł naczelnik.

- No to możecie jechać - rzekł z zadowoleniem. - Ptaszek wleciał do klatki.

Oficerowie zerwali się, spiesznie nakładali kurtki. Szczęsny połączył się z Pałacem Mostowskich i zawiadomił pułkownika o rozpoczęciu akcji, która nosiła kryptonim „Królowa Nocy”.

Dochodziła północ.

Dom był obstawiony ze wszystkich stron, od ulicy aż po strych.

Wywiadowcy, którzy zauważyli Zencykowskiego wchodzącego do bramy, przekazali radiotelefonem informację do posterunku na strychu i do komendy. Szczęsny wraz z Rączewskim postanowili od razu wejść do mieszkania handlarzy, nie bawiąc się już w żadne sztuczki i rzekomych inkasentów. Godzina zresztą była nie po temu. Nakaz aresztowania Zencykowskiego mieli od dawna w kieszeni.

Parczewscy mieszkali na drugim piętrze, w oknach było ciemno.

Porucznik zastukał do drzwi. Trzeba było jednak mocno i długo walić, żeby wreszcie usłyszeć zaspany głos kobiety, pytający o co chodzi.

- Proszę otwierać, milicja - zawołał oficer.

- Znowu milicja? - burczała córka Parczewskich, uchylając drzwi.

- Mówiłam, że my już wódką nie handlujemy. Mama śpi.

Ale oficerowie minęli ją szybko i weszli do pokoju, Szczęsny omiół światłem reflektora tapczany i leżących. Ktoś poruszył się leniwie, stary Parczewski zakrył ręką oczy, mruczając coś pod nosem.

W tej samej chwili kapitan usłyszał szczęk klamki okiennej, dolatujący z kuchni, szamotanie i ostry głos porucznika:

- Stój!... Stój, mówię!

Skoczył w tamtą stronę, skierował reflektor na okno. Było otwarte, na parapecie stał jakiś człowiek i usiłował odepchnąć od siebie oficera, który trzymał go za nogi. Szczęsny podbiegł, ściągnął szarpiącego się na podłogę, oświetlił mu twarz. To był Zenczykowski.

Porucznik wprawnym ruchem nałożył mu na ręce kajdanki, mówiąc z irytacją:

- Co z pana za człowiek, jak pragnę zdrowia! Z drugiego piętra skakać? Nogi połamać? Tam przecież i tak stoją milicjanci, na co to panu.

Szantażysta oddychał ciężko. Nie odpowiedział. Sprowadzili go

na dół w asyście całej rodziny Parczewskich, która nie przejęła się zbytnio zatrzymaniem krewniaka. Stary rzekł tylko do

Szczęsnego:

- Żebym ja wiedział, że za nim tak chodzicie, to bym go do chałupy nie przyjął. Złamanego grosza jeszcze od niego nie

dostałem. Nosa zawsze darł, a jak go przycisnęło, to o rodzinie sobie przypominał, kundel wszawy.

Na drugi dzień z samego rana oficerowie rozpoczęli przesłuchiwanie Zencykowskiego. Szczęsny przyjął na początek taktykę unikania jakiegokolwiek wzmianki o Derbachu i zabójstwie Janiny Stażek. Zarzucił swego rozmówcę mnóstwem pytań o włamanie do apteki, kontakty z Chciukiem i jego znajomymi, sprzedaż skradzionych środków odurzających. Ani razu nie padło słowo „szantaż” lub „zabójstwo”.

Zencykowski, wpieryw opornie milczący, po pewnym czasie wyraźnie rozpozgodził się i zaczął odpowiadać. Widać było, że zgadza się wziąć na siebie wszystkie winy, dotyczące włamania i handlu narkotykami. Gra była jasna

i Szczęsny przejrzał ją z miejsca, udawał jednak, że chętnie słucha skwapliwych wyjaśnień.

Na takich rozmowach zszedł im dzień, potem drugi.

Zencykowski był już tak pewny siebie, że pozwalał sobie na małe dowcipy i pobłażliwie przyglądał się, jakie robią wrażenie.

Dopiero trzeciego dnia, w trakcie przesłuchania do pokoju wszedł nagle dyrektor Derbach, nieuprzedzony zresztą, kogo zastanie.

Zaskoczenie było tak wielkie, że Zencykowski osłupiał, a Derbach zatrzymał się jak wryty na progu. Dyrektor był od pewnego czasu na wolności, przyszedł w płaszczu i z teczką, co najbardziej uderzyło Zencykowskiego. Był przekonany, że tamten siedzi.

- Kanalia! - odezwał się dyrektor, wpijając w siedzącego groźne spojrzenie. Zbliżył się parę kroków. Zencykowski bezwiednie zerwał się i odskoczył w głąb pokoju.

- Zna pan tego człowieka, panie dyrektorze? - spytał Szczęsny.

- To Antkowiak! Ten, który mnie szantażował, wyłudził ode mnie pieniądze. Poznałbym go nawet za dwadzieścia lat. I moja sekretarka na pewno go pozna.

- A więc znacie się, tak? - oficer z kolei przeniósł wzrok na przesłuchiwanego, którego Rączewski na siłę doprowadził z powrotem do krzesła.

- Nie znam tego pana - odparł spiesznie. - Nigdy go nie widziałem. I nie nazywam się Antkowiak. To jakieś nieporozumienie

- Więc dlaczego pan uciekał na jego widok?

- Nie uciekałem. Ublżył mi, więc się odsunąłem. Szczęsny pokiwał głową z ubolewaniem.

- Kłamstwo ma krótkie nogi, panie Zencykowski - powiedział. -

A my mamy takie śliczne małe zdjęcia, na których jesteście obaj, raz przy kinie „Atlantic”, a raz w kawiarni „Mazowsze”, przy wspólnym stoliku, zatopieni w rozmowie... No i co?

Zencykowski milczał. Brwi Derbacha ze zdumienia uniosły się w górę, chciał coś powiedzieć, ale zagryzł wargi. Powstrzymał go ostry wzrok porucznika.

- Zdaje się panie dyrektorze, że miał pan do mnie jakąś sprawę - rzekł Szczęsny, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie - bo widzę, że pan przyszedł z teczką. Może jednak najpierw wyjaśnimy, dlaczego nazwał pan tego tu, Alfreda

Zenczykowskiego, kanalią. A także, czemu użył pan w odniesieniu do niego nazwiska: Antkowiak.

Derbach odłożył na bok teczkę, zdjął płaszcz, usiadł z boku na podsuniętym mu krześle. Zrozumiał już pravidła gry, która się toczyła, pragnął też jak najlepiej wywiązać się ze swego zadania.

Zaczął mówić o wszystkim tak, jakby to robił po raz pierwszy.

Zenczykowski parę razy gwałtownie chciał mu przerwać, ale Rączewski osadził go na miejscu i nie pozwolił wtrącić ani słowa.

Kiedy Derbach zakończył, opisując swoje oczekiwanie pod kinem „Wisła”, i umilkł wyczerpany wspomnieniami, nastąpiła chwila ciszy. Bezszelestnie obracała się taśma magnetofonu, po korytarzu

ktoś przebiegł, wołając: - Już idę, towarzyszu majorze!

- I co pan powie na to, panie Zenczykowski? - odezwał się wreszcie Szczęsny. - Kim była ta dziewczyna? Gdzie teraz jest?

Po twarzy szantażysty przeleciał błysk zdumienia, ale trwał on tylko sekundę. Spojrzał na oficera i powiedział wolno, dobierając słowa:

- Gdzie jest, na to może najlepiej odpowiedzieć właśnie pan Derbach. Ale wątpię, żeby chciał to zrobić. Zwłaszcza wobec

milicji.

- Co to znaczy? Nie rozumiem - rzekł Szczęsny. - Proszę mi to wyjaśnić. Niech pan milczy! - To ostatnie odnosiło się do Derbacha, który chciał się wtrącić. - Niech pan milczy, dopóki panu nie pozwolę mówić.

Był zdenerwowany, bał się, że dyrektor swym odezwaniem zepsuje mu niełatwą robotę.

- Dobrze, powiem - odparł Zenczykowski. - Spóźniłem się wówczas na Plac Komuny prawie dwadzieścia minut. Kiedy wysiadałem z autobusu, zobaczyłem jak pan Derbach wchodzi z dziewczyną do parku. Chciałem pójść za nimi... Nie rozumiałem, dlaczego się spotkali, mieliśmy być tylko we dwóch... Wahałem się co robić, w końcu machnąłem ręką i wróciłem do domu. Od tej pory nie widziałem więcej Janiny Stążek, bo tak się ona nazywała. Widzi pan więc, panie kapitanie, że tylko pan Derbach może panu powiedzieć, co się z nią stało, bo on ją widział ostatni.

- Skąd pan wie? - padło szybkie pytanie.

- No, właśnie mówię, on ją ostatni widział, był z nią.

- Skąd pan wie, że ostatni? Skąd pan wie, czy nie wyszli potem z parku i Janina Stążek nie poszła do domu?

- Jak mogła wyjść z parku, kiedy tam ją właśnie zabito! - krzyknął Zenczykowski w podnieceniu. - Tego wieczoru! I on był z nią - wskazał palcem na Derbacha. - On ją zabił.

Szczęśny zwrócił się nagle do porucznika i spytał służbowym tonem:

- Czy zbadano dokładnie samochód dyrektora Derbacha?  
- Owszem - odparł Rączewski. - Znaleźliśmy pod siedzeniem wozu zakrwawioną męską chustkę do nosa.

Triumfujący uśmiech przemknął po wargach Zencykowskiego. Derbach milczał, jak mu kazano.

- A co znaleziono w torebce denatki? - pytał dalej Szczęśny tym samym tonem, jak gdyby sprawdzał raz jeszcze przeprowadzone śledztwo.

- Pod jedwabną podszewką była rolka filmu, negatyw, ze śladami linii papilarnych.

- Oczywiście linie należą do dyrektora Derbacha?

- Nie. Należą do Alfreda Zencykowskiego.

- To kłamstwo! - wykrzyknął przesłuchiwany. - Wystarczyło zresztą przyrzeć się, co było na negatywie!

- A co było na negatywie? - padło błyskawiczne pytanie.

Zencykowski nagle poblądł i umilkł. Szczęśny spojrzał porozumiewawczo na protokolanta, ten wstał i wyszedł, a po chwili do pokoju wsunął się cicho Waldemar Nierok. Obrzucił siedzących uważnym wzrokiem, raptem twarz skurczyła mu się gniewem, dojrzał Zencykowskiego. Skoczył w jego stronę, chwycił ręką za włosy, Rączewski odciągnął go jednak na bok i mruknął:





- Spokojnie, bo oberwiesz!

Zencykowski patrzył na chłopaka przestraszonym wzrokiem,

widać było, że zbiera myśli, aby odeprzeć następny atak pytań, ale Szczęsny nie dał mu się zastanowić.

- Mów, jak to było - zwrócił się do Nieroka. Waldemar uspokoił

się trochę i, nie spuszczać oczu

z twarzy siedzącego, zaczął opowiadać. Kiedy skończył,

porucznik rzekł do Zencykowskiego:

- Słyszał pan, prawda? No i co teraz?

- Kłamstwo - burknął tamten. - Niczego mi nie udowodnicie.

- Tak pan sądzi? A może wystarczy fakt, że to pan podrzucił do samochodu w garażu dyrektora Derbacha zakrwawioną chustkę?

- Nieprawda!

- Prawda. Pozostawił pan ślady w garażu i na zewnątrz. Pan również pisał anonimowy list, który miał nas zaprowadzić do garażu. Czcionki maszyny są identyczne z tymi, które posiada pańska maszyna do pisania. Drobin pyłu znalezione w kopercie są identyczne z proszkiem do wywoływania zdjęć, który miał pan w swoim atelier. Ślady obuwia przed garażem są odciskami pańskich butów, panie Zencykowski. Wystarczy?

- Chciał pan zwalić winę na dyrektora Derbacha - zaatakował z kolei Szczęsny. - Dlatego umieścił pan negatyw filmu w torebce Janiny Stążek. Ale w pańskich relacjach, które tu przed chwilą

słyszeliśmy, coś się jednak nie zgadza. Bo gdyby dyrektor

Derbach rzeczywiście poszedł z dziewczyną do parku i tam ją zabił, to w jakim celu umieszczałby potem pod siedzeniem samochodu zakrwawioną chustkę? Przecież jego fiat stał w tym czasie wcale nie w pobliżu Placu Komuny, ale przed domem, w którym dyrektor mieszka. A on sam przyjechał autobusem na spotkanie z panem. Sprawdziliśmy to.

- To jedna sprawa. Druga, to całe mnóstwo zdjęć pornograficznych, znalezionych w pańskim pokoju sublokatorskim na Ząbkowskiej. Mamy wiele dowodów na to, że zajmował się pan tym obrzydliwym procederem celem

szantażowania później osób, które zainteresowały się bliżej Janiną Stążek. Odnaleźliśmy już kolejną osobę, poza dyrektorem

Derbachem. Ten inżynier zapłacił panu blisko dwadzieścia tysięcy złotych, aby tylko jego rodzina o tym się nie dowiedziała.

- Reasumując - rzekł kapitan - czeka pana niemały akt oskarżenia.

Jest pan podejrzany o zabójstwo, szantaże, włamanie i współudział we włamaniu, mam na myśli jeszcze tę starą sprawę ze sklepem „Jubilera”, dalej: nielegalny handel narkotykami, czerpanie zysku z nierządu... Nie pozbiera się pan przed sądem, panie Zenczykowski!

Kiedy wyprowadzono przestępcę do aresztu, wstrząśnięty

Derbach powiedział do oficerów:

- Wiecie panowie, aż mi się wierzyć nie chce, żeby jeden człowiek mógł wyrządzić drugim tyle zła. Biedna Królowa Nocy byłaby wyszła za swego chłopaka i pewnie wszystko w ich życiu obróciłoby się na lepsze. A ja... - umilkł, gdyż dom jego był teraz pusty.

Koniec

## Nota redakcyjna

Wykaz książek Anny Kłodzińskiej

Powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa Nocy” jest siódmą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Jednocześnie jest to

pierwsze wydanie tego dzieła w formie książkowej. Do tej pory powieść znana była jedynie z druku prasowego w odcinkach.

„Królową Nocy” publikowano w „Dzienniku Zachodnim” w 1971 roku.

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina”
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz”
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy”
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora

Downara”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona.

Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

oraz na Forum Mordu

[www.klubmord.fora.pl](http://www.klubmord.fora.pl)

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do

miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13@wp.pl) prezes Klubu Miłośników

Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

1. Śledztwo prowadzi porucznik Szczęsny (1957) Labirynt
2. Złota bransoleta (1958) Labirynt
3. Srebrzysta śmierć (1959) Labirynt
4. Dwa włosy blond (1960) Labirynt
5. Przegrana stawka (1961) Labirynt
6. Kim jesteś Czarny? (1963) Labirynt
7. Błękitne okulary (1965) Jamnik
8. Jedwabny krawat (1966) Jamnik
9. Nie bój się nocy (1968) Jamnik
10. Świetlista igła (1969) Jamnik
11. Potem przychodzi ktoś inny (1970) Jamnik
12. Nocny gość (1973) Labirynt
13. Wrak (1973) Labirynt
14. Pokolenie dłużników (1973)
15. Czy pan pamięta inżynierze (1975) Labirynt
16. Taniec szkieletów (1977) Labirynt
17. Trzeci gang (1979) Labirynt
18. Szukam tego człowieka (1979) Labirynt
19. Dzieci milionerów (1980, 1982) Labirynt
20. Złocisty przegrywa (1980) Labirynt

21. Grzędawisko (1981) Labirynt
22. W pogardzie prawa (1983) Labirynt
23. Malwina przegrała milion (1984) Labirynt
24. Zdrajca (1984) Labirynt
25. „Nietoperze" (1985) Labirynt
26. Trzy ciosy sztyletem (1986) Labirynt
27. Sygnały śmierci (1988) Labirynt
28. Za progiem mroku (1988) Labirynt
29. Śmierć za karę (1990) Labirynt
30. Zemsta „Wilka" (1990) Labirynt
31. Wynajęty morderca (pseudonimem Stanisław Załęski) (1991)

Labirynt

32. Królowa Nocy (2009) Seria z Warszawą

Książki wydawnictwa „Wielki Sen'

do nabycia na stronie internetowej

[www.klubmord.com](http://www.klubmord.com)

Pierwsza seta

pierwsza seta

otyli sto r\*«i?]] iwpiMurch praw t.-ztoatów Klubu Miłośników

Polskiej Powieści Milicyjnej .MOrd'

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich

polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945

do początku lat 90. Staramy się zainteresować Czytelników

gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do

tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zagląдают do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

„Serią po kryminałach”

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

I

Helena Sekuła

Kieliszek Bordeaux”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny



Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowątkowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, ktoż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordona - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia.

Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990,

kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się

z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz”

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego

„Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Nieudany urlop majora Downara”

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego

powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe,

poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa

Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z

Zachodu, ale nie wątpimy, że prędkiej czy później napisze

monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi

Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym

tuzom rodzimych organów ścigania.

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze. Jeżeli przebywa

na urlopie, to też jest na służbie. Może o tym nie wiedzieć, ale

rychło się dowie. Tak jest w wypadku majora Stefana Downara,

któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety,  
znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar  
zamieszkał. Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się  
w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborow-skiego

„Nieudany urlop majora Downara" nie miała dotąd książkowego  
wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika  
Łódzkiego" na przełomie 1968 i 1969 roku.

Wejdź na [www.klubmord.com](http://www.klubmord.com), zgłoś akces do Klubu MOrd

i kupuj następne książki w Serii z Warszawą po cenie klubowej